czas. 1242/2/3

ROK II. NR. 3
WARSZAWA
SOBOTA
20-I-1934 R.
CENA 50 GR.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

DYSKUSJA O LITERATURZE WOBEC PAŃSTWA: A. SKWARCZYŃSKI — K. WYKA — T. PEIPER

KAZIMIERZ WYKA — LITERATURA I AKTUALNOŚĆ

Podsumowana w „Pionie" niedawno przez inicjatora jej, p. Skwarczyńskiego, dyskusja na temat stosunku literatury do państwa, pewną swą stroną wykracza, mam wrażenie, poza podany konkretnie temat. Bo ów problem określony, problem stosunku wzajemnego literatury i państwa stanowi część zagadnienia literatury i aktualności. Nic od rzeczy więc może będzie zabrać głos w tym ogólniejszym zakresie.

Zacznijmy od przeciętnego ale charakterystycznego przykładu. Przed rokiem ktoś żałował, niezbyt tęgi w literaturze, że śmierć Żwirki i Wigury nie znalazła należytego oddźwięku w liryce i miał z tej przyczyny ogólną pretensję do literatury. Charakterystyczne było to, bez mała jako pewnik wzięte przekonanie, że jest prawem deterministycznem, iż podobny wstrząs zbiorowy, krótkotrwały zresztą, musi się bezwzględnie uwiecznić w przyszłych historjach literatury. Charakterystyczne to, dla częstego dziś typu ludzi, częstego wśród zajmujących się literaturą, bo o nich idzie, dla których bezpośrednie kroczenie literatury za tem, co aktualne, jest bezwzględną miarą wartości.

Nieporozumienie w tej sprawie rozciąga się na sprawy skądinąd budzące cześć, na postacie poczynające już ulegać kanonizacji. Żeromski! — Pamiętamy wszyscy, jak wymownie i głęboko spodziewał się on, że cud odrodzenia Polski podziwem dla swej niezwykłości przepoi literaturę, że wyśpiewa ona zaraz nazajutrz piękno Śląska i Wilna, ziemi Chełmskiej i Huculszczyzny. Cóż się stało? Makuszyński za swą furę oktaw otrzymał nawet literacką nagrodę państwową. Lecz kto dziś ma jeszcze odwagę „Pieśń o ojczyźnie" czytać?

Widocznie więc nawet z najszlachetniejszych zamierzeń ukręcony bacik, którym się pragnie literaturę zapędzić do pewnych — z jej stanowiska — robót przymusowych, nic skutkuje. To stworzenie jest narowiste i gotowe robić właśnie naprzekór. Kiedy dzisiaj z lewa i z prawa głosi się koniec rodziny, jej rozpad, literatura przekornie stertą tomów opiewa ją. Od Tomasza Manna do Galsworthy'ego, od Sygrydy Undset do Dąbrowskiej, od Maurois do Mauriaca, jednozgodnie śpiewa na inną nutę, niż aktualność nakazywałaby. Mniejsza o to, czy — jak mówiła Dąbrowska z racji pierwszych tomów „Nocy i dni" — jest to pewna stypa pogrzebowa po śmierci rodziny, bo nawet jeżeli tak jest, to wcale nuta tej stypy grzebania, iż opisuje się coś bezwzględnie zmarłego, nie dominuje. Faktem najważniejszym, że śpiewa inaczej.

Skoro tak, skoro literatura własną, aktualność swoją drogą, to może jedyną prawdą literatury jest możliwie dokładne odcięcie jej od codzienności, nastawienie na wieczność, na koturn rzeczy niezmiennych, na to, co ongiś zwało się absolutem. W tym względzie wystarczy wziąć do ręki roczniki „Chimery", „Lamusa" czy choćby „Sfinksa". Oto postulowana czysta literatura o drogowskazie: głębia, tajemnice ponadczasowego życia, metafizyczne zadumy nad sobą i wszystkiem. Tu niema mowy o wiązaniu się z chwilą. Albo jest wieczność w podłym sonecie o stawie, liściach jesiennych i duszy stęsknionej, albo — drugiej możliwości niema. Ta koturnowość czyni tę literaturę nieznośniejszą, niż najsłabszy wiersz programowo-aktualnościowy, bo pretensjonalną na nutę bardzo wzniosłą. I wielcy czasów młodopolskich, taki Kasprowicz naprzykład, ściągają na siebie część nieufności, jaką darzy się dziś to polowanie na ponadczasowość.

Znów więc przekora. Gwałtem robiona wieczystość literatury nic wychodzi jej na dobre, nie udaje się. Miciński jest najbardziej nieczytelnym pisarzem młodej Polski. Niema zatem lejców, któremi, dałoby się kierować literaturą w sposób wobec niej zewnętrzny. Nie da się jej nagiąć przemocą do rzeczywistości, która aktualnie nas otacza, ani tem więcej nie da się jej bezkarnie zawiesić między niebem a ziemią. Lecz czyżby to tylko kaprysy?

Wniosek logiczny jest tylko jeden: literatura ma swoje swoiste, odrębne aktualności, swoją odrębną rzeczywistość i prawa. Wiedział to doskonale Irzykowski w sytuacji, kiedy na nieprzygotowaną literaturę padł nagły nacisk wypadków, i na przykładzie 1905 r. wskazywał i udowadniał, że rewolucje życiowe nie muszą iść w parze z rewolucjami literackiemi i naodwrót. Odbiciem wojny światowej w literaturze, odbiciem liczącem się według tego prawa, nie jest literatura wojenna, pacyfistyczna czy też czysto odtwórcza. Stąd literatura ta była jak kwiat kaktusa: zakwitła nagle, prędko, potoby dzisiaj wcale się nie liczyć. Odbiciem natomiast są i będą pewne zmiany techniki literackiej, stosunku do rzeczywistości, jakie po długim łańcuchu przyczyn pośrednich dadzą się sprowadzić do wojny światowej. Związki te napewno niejednokrotnie będą niedostępne naszej świadomości, skomplikowane, ale w tem właśnie rękojmia ich żywotności, bo tam, gdzie — jak na przykładzie literatury wojennej — stosunki między aktualnością a literaturą są zbyt proste, zbyt widoczne, twór podobny niema co liczyć na długie życie literackie.

Nie znaczy to, by zaprzeczało się związkom literatury z życiem, by zawieszało się ją w nowej próżni. Związki te są głębsze i silniejsze, niż wydaje się tym, którzy je upraszczają. Schodząc do przykładów nawpół humorystycznych, nagminne niepowodzenie wszelkich konkursów literackich, zwłaszcza na sztuki teatralne, wskazuje, iż literatura odruchowo wprost broni się przeciw popędzaniu jej.

Literatura ma swoje prawa własne. To podkreślić należy. I to w artykule ostatnim stanowczo p. Skwarczyński stwierdził, wskazując na stanowisko, które, żądając od literatury spełniania trudnych i obowiązujących zadań społecznych, wcale nie wyobraża sobie tego spełniania jako ślepego kroczenia za aktualnością. W danym wypadku za państwem, jego potrzebami codziennemi. Bo żądanie dreptania za aktualnością byłoby dowodem nieufności w samodzielne, pełne, skomplikowane życie literatury, niepewności, czy ono rzeczywiście na pewnej linji stałej przechodzi w to, co aktualne, codziennie ważne.

Nie grozi nam nawrót pozy z okresu Młodej Polski. Niezbyt dawno zdawało się, że grozi prostacka tendencyjność czy równie prostackie kroczenie za faktami, powiadanie że rolą pisarza jest tylko ich bezosobowy montaż, znów pewna forma niewiary w literaturę, niewiary w jej własną różną od rzeczywistości spójność, jaką nadaje rzeczom. Lecz to rozwiało się. Rosja współczesna, będąca złotym argumentem tak w służbie tendencyjności pozaartystycznej, jak faktomontażyków, przestała nią być. Choć więc sytuacja jest względnie wyklarowana i stanowisko zdrowego rozsądku literackiego zdaje się brać górę, właśnie dlatego uzasadniające go słowa będą na miejscu.

Zatem: bronić wypada zawsze niepisanych a jednak niewątpliwych praw literatury, jej rewolucyj idących własnym torem, bronić należy w imię realizmu życiowego, który wtedy tylko jest realizmem rzetelnym, kiedy sięga do zrozumienia, że każdy strumień życia płynie korytem odrębnem, a bogactwo ich i rozmaitość, stanowiące o wartości życia wogóle osiąga się nie podporządkowaniem hierarchicznem, lecz wzajemnem uprawnieniem.

Niema w tem nic złego, że często nie widzimy jasno wspólnego podłoża literatury i życia, i aktualności. Że zachodzi między niemi nieraz stosunek buntu i przekory. Pisarze wielkich epok minionych, które wydają się nam dzisiaj jednolite w każdem swem wcieleniu osobowem, nie szukali niespokojnie tej wspólności. Skoro tworzyli z całą szczerością artyzmu swego, skoro oddawali się tylko temu, co im dyktował instynkt artystyczny, widzimy dziś, gdy pokrył ich czas, w jakiej bywali i są zgodzie z swoją chwilą, będąc w surowej zgodzie z samym sobą. Mniejsza o to, czy cenimy ich, czy nie. Najważniejsze, że widzimy, jak są aktualni dzisiaj, jako obraz szerokiej, ponadjednostkowej całości, idąc tylko za tem, co widzieli w sobie. I tu jest potrzeba ufności niezbędna. Realizm życiowy każe wierzyć, że w duszy pisarza leży probierz aktualności, któremu należy ufać, że niezrozumiały nieraz wybór jego jest tylko dalecką odnogą szerokiego przepływu życia poprzez niego i poprzez nas wszystkich. Wierzyć musimy, że życie samo poprzez nieuchwytny dar instynktu twórczego wyraża swoje aktualności, że spaja dwie strony pozornie niezłączalne: aktualność chwili z aktualnością wieczystą.

Inna rzecz, że założywszy jako pewnik bezmała tę podstawę, zostawiamy nieskrępowane i szerokie pole ocenom poszczególnym, walkom, sporom, wartościowaniu. Nie mówimy, iż wszelkie zjawiska literackie, wyrażające po krótszej lub dłuższej analizie pewną prawdę, aktualność, są w pewnym względzie równowartościowe. To są kwestje dalsze, poza temat tych uwag wykraczające. W każdym razie przeciw tej możliwości, zastrzec się wypada. Bo idzie w uwagach tych tylko o podanie ogólnej ramy, ogólnego wzoru na problem omawiany, wzoru tak uczuciowego, jak myślowego, w którym mieszczą się nieograniczone co do liczby równania szczegółowe.

TREŚĆ:

A. SKWARCZYŃSKI
KAZIMIERZ WYKA
TADEUSZ PEIPER
GŁOSY W DYSKUSJI O LITERATURZE WOBEC PAŃSTWA
B. BRUKALSKA I J. MAKOWIECKI
PIERWSZA „KOLUMNA ARCHITEKTURY"
ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI
POEZJA WIOSNA BUCHALTERÓW
WŁ. ZAWISTOWSKI
ŻYWOT NA MIARĘ EPOKI
JAN WIKTOR
POZA ŻYCIEM
ZOFJA SZNYDTOWA
PIERWIASTKI PLATOŃSKIE W „DZIADACH"
POLEMIKA W SPRAWIE POMNIKA PEOWIAKA:
TAD. MAKOWIECKI
ANT. WIECZORKIEWICZ
J. E. SKIWSKI
DYSKUSJA NA OSTRO

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN
K 1243/84/12

TADEUSZ PEIPER

KTO NIE ZAUWAŻYŁ?

Zarzut, skierowany przeciwko współczesnej literaturze polskiej, zawarty w pierwszym artykule pierwszego numeru „Pionu", sprecyzował ostatnio Adam Skwarczyński tak: „Usiłowałem dać skórt wysiłku literatury polskiej od 1795 do Wyspiańskiego, twierdząc, że w niej rozwijała się jednolicie samowiedza kulturalna narodu. Twierdziłem że współczesna literatura polska nie zauważyła faktu odbudowania Państwa, nie podejmując się dalszej pracy przewodnictwa kulturalnego narodu. Wyraziłem sąd, że literatura nie ma żadnego wowodu do takiej zmiany postawy, wprost przeciwnie. Niepodległość stawia jej jak najkategoryczniej postulat kontynuowania bądź przezwyciężenia wypracowanej przez romantyków samowiedzy kulturalnej".

W myślach tych znajduję jeden związek niezgodny i jedno rozstrzygnięcie niewyznane.

Niezgodny związek myśli to ten: nie można wielbić faktu otwierającego nową epokę, a równocześnie bronić ciągłości dziejowej. Gdy Skwarczyński twierdzi, że niema żadnego powodu, aby literatura w odbudowanem państwie poniechała tego kulturalnego przewodnictwa, jakie uprawiała w czasach niewoli, to nieświadomie przyjmuje nadmierną ciągłość między życiem Polski wolnej i niewolnej. A czyż mogą to przyjąć jego oczy? Przecie w takiem widzeniu fakt odbudowania państwa nie zajmuje godnego siebie miejsca. Kto nie widzi powodów, dla których literatura w kraju wolnym musi być czem innem niż w kraju niewolnym, ten nie docenia odzyskanej wolności. Sama przez się narzuca się myśl, że nie nasza literatura, lecz właśnie Skwarczyński faktu niepodległości nie zauważył.

Ktoś mówi: Ależ to rozumowanie pana — to ordynarne logikulstwo.

Odpowiadam: Nie, to jest wniosek logiczny, tylko dlatego ważny, że niesie on nam na sobie duszę Skwarczyńskiego.

Bo u człowieka takiego, jak on, niezgodność myśli może być tylko odpowiednikiem jakiejś głębszej zgodności wewnętrznej; jeśli w patrzeniu czy myśleniu popełnił błąd, to było to możliwe tylko dlatego, że kierowała nim jakaś wielka wiara. Zdaje mi się że docieram do istoty rzeczy, stawiając twierdzenie, że, gdy Skwarczyński alternatywnie żąda kontynuowania lub przezwyciężenia samowiedzy wypracowanej przez romantyków, dla siebie już tę alternatywę rozstrzygnął, i to na korzyść kontynuowania! Dowodzi tego całość jego artykułu, to co w nim mówi i to co zostawił pod słowami, to czem nasycał litery i to czem przepajał akcenty, rytmy i pauzy. W nim samym nie czujemy alternatywy, która pojawia się w jego artykule, i bierzemy ją tylko za szlachetne ustępstwo na rzecz sił które może uświęcić życie. Na ostatniem dnie duszy Skwarczyńskiego dostrzegamy wiarę w moc kontynuowania romantyzmu Tak; kontynuacja; ciągłość. Cały artykuł służy za potwierdzenie tego co ukazał nam wniosek logiczny wyciągnięty z jednego jego zdania.

Teraz zrozumiałem się staje oskarżenie, jakie Skwarczyński zawiesił nad naszą literaturą. Brak mu w niej wołań i gestów, pytań i spraw, słów i kroków, któremi działali romantycy.

A tymczasem, wiedziona wspaniałym instynktem witalnym, literatura nasza przerywała niemal z dnia na dzień linję ciągłości; pierwszym ruchem, jaki wykonała było wyrwanie ramion z wielbionych dotąd dłoni. I to właśnie było najpiękniejszem zauważeniem niepodległości.

Witaliśmy ją zgoła inaczej niż to przypuszczali wieszcze i ich wierni. Witaliśmy ją nie wersetami psalmów, nie hymnami, i nawet nie szeptem, lecz orgiastycznem rozfalowaniem życia, którego przypływy przynosiły radość, a odpływy nie zostawiały zrozumienia tego co się działo. Witaliśmy ją nie na drogach Konradów i Kordjanów. nie pod murami czczonych więzień, nie na szczytach gór, nie nad brzegami wiernych rzek, lecz w knajpach, w kawiarniach, w salach dancingowych. Z dnia na dzień zmieniał się nasz wygląd, nasz ubiór i nasze sposoby życia. Ci, którzy nigdy wódki nie pili, zaczęli ją pić. Ci, którzy nigdy nie tańczyli, zalewali się fokstrotem i tangiem. Miołść odrabiała stuletnie straty i nieraz była tak szybka jak odgłos dzwonka po naciśnięciu elektrycznego guzika. W ogólnem gorącu tajały wszystkie zimne więzy. Z wyzwolonego powietrza korzystali wszyscy. Robotnicy cieszyli się jeszcze wysokiemi płacami, które posiedli pod skrzydłami rządu socjalistów, pierwszego rządu w odbudowanem państwie. Właściciele sklepów korzennych, sprzedawcy mydeł i pachnideł...

Ktoś przerywa: Ależ panie, pan miesza następstwa niepodległości z następstwami inflacji.

Odpowiadam: Nasza inflacja była sapaniem wyzwolonego kraju.

Wielu z radujących się nie wiedziało wcale, że tylko naśladowało tych, którzy znali motywy swej radości. Szło przez kraj życie, którego właściwy sens nie ukazywał się często nawet w jego szaleństwach. Moralizatorowie biadali nad rozwiązłością, a to, co się działo, to był niemal obrzęd. Te lata, których wielkość rośnie w naszych wspomnieniach wraz z oddaleniem, wyraziła literatura słowami skamandrytów i futurystów. Może wielu z nich nie zauważyło niepodległości, ale to pewne, że wszyscy oni już nią żyli!

To, co tak się zaczęło, musiało podobnie postępować dalej. Z tą samą konsekwencją instynktów, z jaką pisarze niewoli zaludniali literaturę romantyką swych wołań, z tą samą konsekwencją instynktów pisarze naszych czasów literaturę przed temi wołaniami zamykali, i dopiero na terenach tak zamkniętych poznawali swój czas i samych siebie. Nie tylko nie naśladowali wielkich romantyków, ale zmieniali ich na własne podobieństwo. I oto, rysowany dłonią szczerego i odważnego człowieka, wznosi się przed nami nowy wizerunek Mickiewicza. Gdyby chodziło o jedno z najbardziej widomych miejsc, jakiemi zaznaczyło się w literaturze odzyskanie niepodległości, tu je macie, w tym Mickiewiczu Boya. Innym widział wieszcza kraj niewolny, innym widzi go wolny. Tak to i podobnie wyraża się niepodległość w literaturze, ale nie mogły zauważyć tego piękne oczy Skwarczyńskiego, odkąd przestały być oczyma w marszu.

Ze wzruszeniem czytam piękne ustępy, które Adam Skwarczyński poświęca trudom i zwycięstwom awangard literackich, ale czyż mogę się nie smucić, gdy widzę że naszej współczesnej awangardy nie zauważa? A przecie w najbardziej autentycznych swych czynach awangarda nasza to właśnie owa literatura „wysłana w przyszłość, by przygotowała całość i poszczególne odcinki pozycji dla sił głównych, które nadciągnąć mają". Wartość naszych czynów osądzą przyszli sędziowie i zapewne osądzą ją lepiej niż wczorajsi i dzisiejsi. Owo wyzwolone powietrze, które falowało radością i tylu jej pochodnemi, nie stwarzało akustyki dla naszych słów. Któż miał dla nas oboje uszu? Przez piętnaście lat byliśmy ofiarami niepodległych wesołości; tak. Nie winiliśmy o to nikogo prócz nieuczciwych. Pewnem dla nas było, że dzień, w którym przyjdzie do pierwszych prac budowniczych, nachyli się ku nam. Tak nauczyliśmy się żyć w y ł ą c z n i e przyszłością. Dlatego, gdy mowa o niej, tak bardzo jesteśmy czuli, i dlatego, gdy mówi o niej Skwarczyński, a nas nie zauważa, jest nam smutno; tak. Ale rozumiemy go. W naszych czynach brak mu tych składników romantycznych, bez których niema dla niego wielkości, i choć spełniamy, jak umiemy, zadanie dawnych awangard, nie widzi nas, bo spełniamy jej innym słownikiem, innym gestem i innym krokiem. Tak, tak: za dużo jest ciągłości w wizji dziejowej Skwarczyńskiego.

W związku z tem jeszcze to: może przyszłość, o której myśli on, jest zbyt podobna do tego co już jest, podczas, gdy nasza składa się z ziem nowych. On chciałby jak najdłużej pieścić się faktem odzyskania niepodległości, a my jesteśmy awangardą, której w miejscu stać nie wolno, która, aby być sobą, musi iść, iść, iść. Tem bardziej, że świat ulega groźnym przemianom, których sens ujrzeć muszą przed innymi dobrzy i śmiali. Polska zawdzięcza niepodległość wielkim biegom dziejowy, które Piłsudski przewidział, zrozumiał i zużytkował, ale te biegi dziejowe nie spoczywają. Gdy przed wojną w kilku kompanjach strzeleckich chodziliśmy podkrakowskiemi drogami i nieraz w marszu trącali o chropowate dłonie robociarskie, codopiero oderwane od pracy, mieliśmy w sobie pełny obraz przyszłych zdarzeń. Obraz ten nie urzeczywistnił się jeszcze w całości, więc pamiętamy, że pośród czynników, które wpłynęły na wyzwolenie Polski, pierwszorzędna rola przypadła ówczesnej fazie ruchu robotniczego, i to fazie jaką on osiągnął nie tylko w Polsce, nawet nie tylko w Rosji i w Niemczech, ale w całej Europie.

Ktoś mówi: Przesadza pan, panie!

Aby nie odpowiedzieć połowicznie, nie odpowiadam wcale.

Otóż swemi najbardziej autentycznemi słowami awangarda nasza głosi, że biegi dziejowe, wśród których kraj nasz odzyskał wolność, nie są jeszcze ukończone. Toczą się dalej. Jakimkolwiek byłby wieczór, ku któremu idą zdarzenia, wierzymy w słońca, które po nim przyjdą. Dlatego nad faktem odzyskania niepodległości nie możemy zatrzymywać się tak długo, jakby tego pragnął Skwarczyński. Spieszno nam naprzód.

ADAM SKWARCZYŃSKI

W POLEMICE O LITERATURĘ I PAŃSTWO

Artykuł mój w Nerze 12 „Pionu", wywołał polemiczną odpowiedź J. Kadena Bandrowskiego w „Gazecie Polskiej" z 3 i 4 b. m. Cieszę się bardzo, że polemika się rozwija, mam nadzieję, że rozwijać się będzie dalej i że z tego niejakie korzyści dla literatury wynikną. Chcę jednak odrazu Kadenowi rzucić kilka „zwischenrufów" w celu uniknięcia dalszych nieporozumień.

1. W kwestji literatury jako kontrahenta wobec państwa, któremu to stosunkowi się przeciwstawiam a Kaden go broni, odpowiadam doraźnie tak: Jest cały szereg spraw, pierwszorzędnego znaczenia, których materjalnemu zaspokojeniu Państwo w pełni sprostać nie może. I to nie tylko Państwo polskie, będące „na dorobku" ale i inne, bardziej zagospodarowane państwa. Dla przykładu wymieniam: sprawę bezrobocia i sprawę budowy szkół powszechnych. Dobro publiczne ponosi przez to nieobliczalne szkody ekonomiczne, kulturalne, moralne. I wówczas inicjatywa społeczna przychodzi Państwu z pomocą. Powstaje Towarzystwo Popierania Budowy Szkół Powszechnych, oraz Stowarzyszenie Ochotniczych Obozów Pracy, z których każde na swój sposób krząta się około zorganizowania danej sprawy. I nietylko poświęcają jej swój zbiorowy i dobrowolny wysiłek materjalny i organizacyjny, lecz przychodzą do Państwa i mówią: do swego wysiłku organizacyjnego i materjalnego, który dziś zamknąć się może kwotą niewielkiej ilości miljonów dla jednej i dla drugiej sprawy, dołącz nasz społeczny wysiłek, wciel go (po uwzględnieniu naszych racyj) w swój plan. Otóż jeśli sprawa materjalnych potrzeb literatury jest w swoim zakresie—podobnie jak tamte—paląca, to niechże skrystalizuje się w analogicznym wysiłku organizacyjnym. Wzorów pod pewnym względem i w specjalnym zakresie mogłaby tu dostarczyć przedwojenna spółka wydawnicza „Książka" w Krakowie, a pod innym względem (dla Kadena, sądzę, będzie to przekonywujące) Kasa oficerska ! Brygady. Tylko niech ktoś znów nie zakrzyknie na mnie, że to wiecznie wzory ofiarności z „ubiegłej epoki niewoli". Poprzednie analogje z bezrobociem i szkołami będą mi dostateczną obroną. Wtedy literaci, podobnie jak tamci przyjdą do Państwa i powiedzą: do swego wysiłku organizacyjnego i materjalnego, który dziś zamyka się w niewielkiej ilości setek tysięcy, dołącz nasz społeczny wysiłek i po wysłuchaniu naszych racyj wciel go w swój plan. Na takie pojęcie „kontrahenta" chętnie się zgodzę, — a przyzna mi Kaden, że Państwo właśnie w takiem pojęciu wygląda na „organizm żywy, twórczy, syntetyczny, wynikły z życia pokoleń i nas wszystkich, nie zaś na jakiegoś kartagińskiego Molocha..."

2. W kwestji „Chrystusa Narodów" i tego, czy chcemy dziś kogo „własnej ojczyzny męką odkupywać" — nie wiem skąd sprawa ta do polemiki Kadena wogóle się dostała. Mitu Chrystusa Narodów czy odkupicielskiej męki Polski, literaturze dzisiejszej nigdzie nie przedkładałem choćby dlatego, że nie jest warjatem, któryby uroił sobie, że Polska dziś jest „umęczona" w niewoli, jak była za Mickiewicza. Pocóż więc szpalty całe poświęcać na polemikę z tem, i wprowadzać w błąd nieuważnego czytelnika, że to polemika z „Adamem Skwarczyńskim", który w swym artykule mówi przecież o czemś zupełnie innem. Gdybym kiedyś zdobył się na to, by zastanawiać się czy i w jakim sensie idea „misji" wypracowana przez „romantyków" jest dziś aktualną, proszę wtedy o uwagi krytyczne. Tylko na miłość Boską! Proszę i wtedy idei tej nie przesłaniać jednym z jej alegorycznych akcesorjów, bo czas już chyba zdać sobie sprawę z tego, że pozytywiści, hr. Stanisław Tarnowski, Roman Dmowski i inni czyniąc to, nie krytykowali tylko zaciemniali myśl „romantyków" naszych. Ich idea „misji" była przecie nie zawsze męczeńską i ofiarniczą, lecz również i zdobywczą (czy nawet „imperjalistyczną") — a kto wie — czy taka właśnie Państwu Polskiemu w jego położeniu geograficznem i kulturalnem nie jest dziś potrzebna.

3. Co do sprawy stwarzania cudu i opanowywania przyszłości, którą uważam za istotę twórczości literackiej, — Kaden przeciwstawia się temu. Mówi on, że: „literatura współczesna słusznie czyni, jeśli się, o ile może, osadza we współczesności, że ją przemierza, krytykuje, atakuje, że się schyla, by szlifować kształt poszczególnej cząsteczki budowlanej. Cząsteczki! By urobić, odnaleźć, ustalić poszczególnego drobnego człowieka". „Dzisiejsza literatura polska — pisze dalej Kaden — może już tworzyć nie bohaterów, nie nadludzi, lecz właśnie ludzi zwyczajnych, nie tylko obywateli zwykłych w Polsce, lecz w **Polsce wolnej, dzisiejszej...**". Jeśli Kaden te rzeczy mówi jednym tchem ze zdaniem, że „Adam Skwarczyński trzyma się tamtej, dawnej perspektywy..." — to czyni tak, jak się w polemice czynić nie powinno, bo znów może wyniknąć z tego wprowadzenie w błąd nieuważnego czytelnika. Bo przecie w artykule pierwszym wyraźnie mówiłem, że największym choć niezawinionym grzechem dawnej literatury był brak kontraktu z bieżącem życiem, a zadaniem literatury dzisiejszej grzech ten naprawić. A w artykule drugim, z którym obecnie Kaden polemizuje, szeroko i po swojemu, analogjami z pracą awangardy i sił głównych, rozwodzę się nad tem, jak z tej samorodnej twórczości codziennego życia mogą wartości w twórczość literacką wnikać. Tylko — pytam się teraz — czemuż ten „w Polsce wolnej, dzisiejszej zwykły obywatel" ma być człowiekiem bez przyszłości? On tej przyszłości chce, do niej dąży, żąda by mu ją pokazać. Mówi: wyście mieli ideę Niepodległości, my też chcemy mieć ideę: Polski przyszłej, człowieka nowego. Czemu literatura mu tego nie daje, czemu — powtarzam — „nie podejmuje się dalszej pracy kulturalnego przewodnictwa narodu"? Mówicie: nie podejmujemy, bo to przebrzmiałe idee „Chrystusa narodów" i „męki dla odkupienia innych". Niepraw-da! On chce przyszłości radosnej, zdobywczej, mocnej. Mówicie: nie podejmujemy, bo on „miesza powołanie poety z powołaniem kaznodziei i barda". Tak jest! Miesza. I tu właśnie ma rację. A wy rozdzielając te powołania mylicie się o całe swoje... powołanie. Bo on od czasów Homera przyzwyczaił się z poezji brać idee, brać Achillesa na wzór męstwa, Odyseja — mądrości, Hectora wierności sprawie, — brać zagadnienia i perspektywy życia. I jeśli mu nie dajecie, jeśli dać nie chcecie lub **już** nie możecie, — to on sam będzie was czytał tylko dla wypoczynku „do poduszki" jak Wallace'a, lub szukać was będzie w kabarecie — dla rozrywki i uciechy po pracy.

I nie wiem, czy „marzenie o takim cudzie, to konserwatyzm estetyczny" — jak pisze Kaden. Dostrzegam znaki, że raczej nie: świadczy o tem choćby zwrot młodych do Norwida i jego pojmowania roli literatury; proszę przejrzeć norwidowski numer „Drogi" a specjalnie w nim prace młodych. Sądzę, że w tej sprawie młodzi mają głos i chciałbym, żeby w tej polemice wzięli udział.

WŁADYSŁAW ZAWISTOWSKI

ŻYWOT NA MIARĘ EPOKI

(Wincenty Rzymowski: „W walce i burzy" — Tadeusz Hołówko na tle epoki Warszawa, 1933.)

W pięć miesięcy po tragicznym zgonie Tadeusza Hołówki, zasiadł jeden z najbliższych jego współpracowników i przyjaciół,

TADEUSZ HOŁÓWKO Rzeźba F. Strynkiewicza

Wincenty Rzymowski, do napisania żywota tego niezwykłego człowieka. Żywot urósł do rozmiarów dużej książki, stał się monografją o Tadeuszu Hołówce. Świetne walory prozy Rzymowskiego i niezwykłe koleje losu Hołówki sprawiają, że czyta się tę książkę jak powieść, że przemawiająca z jej kart rzeczywistość, przeważnie jakże bliska naszym dniom, jak świeża i jak bardzo dopełniana przez czytelnika własnemi wspomnieniami, zdaje się zamykać w czarodziejskiem kole swojej sugestywnej mocy obie wchodzące tu w grę indywidualności — polityka, któremu książkę poświęcono, i polityka, który ją napisał.

Boć przecież nie ulega wątpliwości, że nie mamy tu do czynienia z książką li tylko literacką, poświęconą wspomnieniom o wybitnej indywidualności przedwcześnie zmarłego działacza. Fakty z życia Hołówki, jakkolwiek grupowane w chronologicznym porządku i referowane przez autora z prawdziwie metodyczną dokładnością, w miarę poznawania tej książki stają się jakgdyby najszlachetniejszym, najważniejszym pretekstem do przedstawienia spraw o wiele ważniejszych, o wiele bardziej zasadniczych. Żywot pojedynczego człowieka przedzieżga się w książkę o charakterze wyraźnie publicystycznym, która przyznaje swemu autorowi o wiele większe prawo, niż historykowi i monografiście. „W walce i burzy" gorącego żywota Hołówki mieści się walka i burza epoki naszego pokolenia, a zamknięte ręką morderców jego życie — zamkniętym okresem historji Polski, najnowszej i najbliższej nam historji, co do której publicysta i polityk Rzymowski pragnie się wypowiedzieć już niejako w syntetycznym kształcie.

Ale bo też życie Hołówki, mimo straszliwego bezsensu jego zgonu, dokonanego w niepoczytalności, do jakiej zdolna jest tylko zupełna bezsilność, jest wymarzoną epopeją pojedynczego człowieka, wyrażającą epopeję Polski w najbardziej przełomowej chwili jej dziejów. Od symbolicznego niejako miejsca narodzin Hołówki, gdzieś w dalekiem centrum azjatyckiej Rosji, poprzez wszystkie pokusy wynarodowienia, poprzez radykalizm społeczny wiedzie jego życie ku tej pełni świadomości narodowej, która potem znajduje sobie drogowskaz w wodzostwie Józefa Piłsudskiego, aby przejść wszystkie pokolei etapy tej służby, w konspiracji, w okopach, w życiu parlamentarnem i politycznem odrodzonej Polski. Czytając książkę Rzymowskiego widzi się nieustannie potężną, masywnie zbudowaną sylwetę Tadeusza Hołówki, płynącą środkiem koryta polskiej rzeki, jak walczy z jej spienionym nurtem, jak popychają go fale i rytm ramion, kierowanych niezawodną intuicją. Towarzyszący czytelnikowi głos Rzymowskiego jest głosem komentatora, który dzielił losy i niebezpieczeństwa Hołówki, który kieruje się tą samą wiarą, dzieli z nim wszystkie burze, pokonywa podobne trudności, ale gdy tamten przeczuwa trafność swojej drogi, ten rozumie jej słuszność.

Tak to w owej książce, która wyrosła z tragicznej śmierci Hołówki, dwaj redaktorowie „Widnokręgu", dwaj koledzy z obozu jeńców w Salzwedel i Stendhal, odbywają raz jeszcze wspólną wędrówkę po polskiej rzeczywistości, obaj mocni wiarą i oddaniem wspólnemu Wodzowi, ale i pełni niepokoju o wielkość tej Polski, którą stworzyło ich pokolenie i nie w ich nieobecności. Bo książka Rzymowskiego jest nietylko żywotem i nietylko historją: jest również, i jest przedewszystkiem, szukaniem politycznej prawdy, szukaniem uzasadnień dla tych dróg, któremi kroczył obóz polityczny Józefa Piłsudskiego.

Ten właśnie charakter „Walki i burzy" jest najcenniejszą i najtrudniejszą zarazem stroną książki Rzymowskiego. Najcenniejszą, albowiem nasiąknięta jest życiem, pełna niezmiernie intensywnych przemyśleń, doskonałej publicystyki oraz tej djalektyki politycznej, która działa nietylko argumentem socjologa i politycznego stratega, lecz natężeniem woli przedstawiciela obozu, który bynajmniej nie wśród poślednich argumentów posiadał zawsze i posiada dotąd argument odniesionego zwycięstwa. Nietylko na polu walki, ale i na polu przewidywań politycznych, na terenie politycznych ziszczeń.

Najtrudniejsze, bowiem brak jakiegokolwiek dystansu historycznego, uczestniczenie bezpośrednie w wypadkach sprawia, że Rzymowski nie może sformułować wielu objawów politycznych tak wyraziście, jak na to pozwala mu jego poziom intelektualny. Kiedy przystępuje np. do nakreślenia tej niezwykle charakterystycznej linji, jaką przebył Hołówko wraz z szeregiem swoich towarzyszy od socjalizmu do Bloku Bezpartyjnego Współpracy z Rządem, to znajduje podatną prozę potemu, aby przełom ten odmalować, znajduje również liryzm osobistych wspomnień; brakuje jednak jego kartom dramatyzmu silnych przeżyć, które musiały towarzyszyć tym przemianom, zwłaszcza u natur tak impulsywnych i otwartych, jak Hołówko.

Jest w tych końcowych rozdziałach „Walki i burzy" jakaś natchniona żarliwość publicystyczna, w której dwa doskonałe pióra szermiercze zlewają się w jednolity dźwięk uderzeń. Nie dwu przeciwników, ale dwu sprzymierzeńców tak bliskich, że trudno chwilami rozpoznać, czy to Rzymowski sekunduje Hołówce, czy Hołówko Rzymowskiemu. To cytaty z książek i artykułów Hołówki, nabrzmiałe temperamentem wojennym tych czasów, udzielają swego tonu autorowi książki, któremu zdarzenia przed kilku laty przeżyte wstają znów żywe i dotkliwe przed oczyma. Powstaje jeden z najlepszych rozdziałów książki — koszmarny obraz ostatnich przed majowemi wypadkami zdarzeń — i potem fanfara zwycięska tych dni przełomowych, które Polskę skierowały ku nowej drodze politycznego rozwoju.

Ta najciekawsza część książki jest już nieustępliwą walką o ideje, o fakty żyjące w naszej pamięci, o oblicze państwa polskiego, o jego duchowy wyraz. Proza Rzymowskiego nabiera w tych momentach szczególnie skupionej ekspresji. Tym razem walczy nie publicysta, — to już jest czynny polityk, który nie tylko słowem, ale i czynem gotów jest prawdy swojej dochodzić. Cel walki, zabarwienie duchowe tego wielkiego sporu politycznego, jest dla nas zupełnie jasne: przemawia przedstawiciel obozu, który każdą sprawę mierzył czynem, który za Wodzem szedł nie dlatego, żeby był nieświadomy swojej drogi, ale że ten Wódz uosabiał zdolność do czynu wszystkich żołnierzy, każdego poszczególnego oddziału, każdej poszczególnej jednostki. To przeświadczenie o jedynej realności czynu, która każdemu innemu elementowi ludzkiego działania użycza dopiero swego blasku, jak słońce użycza go ziemi, przeświadczenie wydźwignięte długim i mozolnym wysiłkiem — to właśnie cecha charakterystyczna autora życiorysu i samej osoby portretowanej. W tem jest ta książka niezmiernie charakterystyczna dla całego obozu Marszałka Piłsudskiego, wykraczając poza zakreślone granice. Rzymowskiemu udało się na jej kartach scharakteryzować nietylko człowieka i epokę, ale zbiorowisko ludzi, których wpływ na kształtowanie się losów Polski niepodległej był i jest decydujący.

Natomiast w tej bojowej postawie zatarły się kontury przemian czysto ideowej progresji. Niezmiernie ciekawe dla przyszłego historyka załamywanie się pojęć społecznych i politycznych tej epoki, przetwarzanie się ich treści, ustępowanie fetyszów pod naciskiem ciężkiej i niełaskawej rzeczywistości, to wszystko, co stanowi żywą historję ewolucji politycznej naszego pokolenia, ewolucji, w której Hołówko tkwił całkowicie, a w której Rzymowski odegrał przecież swoją rolę, nie mogło jeszcze w książce tej znaleźć pełnego odbicia.

Refleksje na temat rodzajów literackich, zwłaszcza przy książce tak żywo wkraczającej w nasze osobiste przekonania, są z pewnością jałowe. A jednak refleksja ta towarzyszy czytelnikowi „Walki i burzy" przez cały czas lektury. Żywot na tle epoki — takie było założenie Rzymowskiego. Ale rezultat, który otrzymaliśmy, przewyższył to zamierzenie. Jest to bowiem żywot na miarę epoki, tej epoki, która świecić będzie w historji Polski najwspanialszemi głoskami, epoki gorzkiej i ciężkiej, ale jakże hojnie nagradzającej nas za wszelkie trudy i wyrzeczenia — swoją dziejową kondensacją.

ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI

POEZJA

Ten wiersz gorący i kulisty,
słonecznym słupem trysnął z pióra.
Na stole został ślad ognisty,
a ściany drżały jak tektura.

I w jasny dzień na świat wyhulał,
wypalił drzwi i stopił schody.
Tak poleciała biała kula
z powietrza, z ziemi, z ognia, z wody.

I ulicami za ucieczką,
która bryzgała w czarne bramy,
toczył się gorejącą beczką
i czerwonemi obręczami.

W zaułku szparą zabłysnęło. —
Rozwinął się, jak arkusz blachy...
Skoczył, i niebo go połknęło,
przez zaciśnięte, ostre dachy.

W cylindrze mknąc po gzymsach śliskich,
co noc skradałem się... szukałem...
I zawsze wiersz ten jest mi bliski
i nigdy go nie napisałem.

■

WIOSNA BUCHALTERÓW

Kołysze się sufit na warstwach dymu grubych
i skrzypią pióra malując kalkulacji trop.
A słońce wybija szyby w wydziale rachuby
i wrzuca skośnie za snopem snop,
jak do stodoły.
W mózgach rozkwita poranna ulica,
a w księgach litery pod piórem:
„u" — tulipany, „s" — storczyki kręte,
cyfry wplątane w jaśmin i miętę
rozfruwają się rozwiośnione!
Zera kółkami z dymu toczą się w górę,
jedynki łamią się na popielnicach
już wypalone.
O trzeciej pięć, biuro świetli się gorzkiem
wspomnieniem w szybach tramwaju.
I pachnie sklep kolonjalny groszkiem,
sałatą, sznurowadłami, jak w maju.
Paczuszka (z wędliną) do płaszcza przypięta,
kiełkuje i wątły, zielony korzonek
zawija się wkoło guzika w skrętach,
w zawrotach, które wirują w głowie,
kiedy u drzwi na szóstem piętrze
wreszcie zatrzyma się człowiek,
a serce w płucach skrzydłami szczytów
tłucze, jak ptak czerwony, o wnętrze,
a dzwonek
jest skowronkiem brudnego sufitu
i śpiewa nad srebrnem weselem,
nad siwą żoną i starym człowiekiem,
którego spojrzenie
czyta, że żonie brak dzbana z mlekiem
i kolistego ruchu ramieniem,
do wiosny pierwszej, dalekiej...
Źrenice, jak wodne kręgi rosną...
Dłoń tonącego i fale,
Krzyk przebity przez płynne spirale!
Tak w łódce łóżka odpłyną jak rzeką
prując pościeli piany...
I nie rozbije się dzban gliniany
i nie rozbryzga się mleko,
a prześcieradło stopnieje, jak śniegi wiosną.

Z dniem 1 grudnia zostało urządzone w Salonie Sztuki Garlińskiego (Mazowiecka 8) okno wystawowe PIONU
Tam też można wpłacać prenumeratę i nabywać pojedyńcze numery.

JAN WIKTOR

POZA ŻYCIEM

Ktoś szedł przede mną powłócząc nogą. Ręka zwisała bezwładnie. Pewno sparaliżowana. Niczem nie różnił się od innych, zdążających do przytułku, otwartego o tej godzinie. Miał na sobie resztki kapoty przepasanej sznurkiem, chyba cudem trzymającej się kupy. Chodaki okręcone szmatami głuszyły kroki. Wiatr rozmiatał brodę, jak kłak obielonej mierzwy. Idący nie zwracał uwagi na zimne podmuchy, docierające do kości, ani na okruchy śniegu, tnące tak boleśnie. Z boku wysunęła się nowa postać, za nią druga, trzecia, to pojedyńczo, to po dwóch. Nie można rozeznać twarzy, tylko brutalnie rysowały się kształty, jakby widma mroków, łachman za łachmanem. Obieleni śniegiem, skostniali, przewiani wiatrem, zdążają na ulicę Dziką 4, z wszystkich ulic miasta, z pod mostów, szynków, z kryminałów, z rynsztoków, przynosząc mróz całego dnia w fałdach swych okryć, w rękawach, pod dziurami szmat. Zapewne dzisiaj zdeptali mile bruków, tysiące schodów, aby wyżebrać, ukraść, czy zarobić kilka groszy na nocleg, na miskę zupy, czy też flachę sznapy.

Równocześnie mieliśmy przestąpić próg. Nie było miejsca dla dwóch, więc odsunąłem się na bok, aby go przepuścić. Mijał mnie zwyczajnym krokiem, z trudem podciągał nogę ze stopnia na stopień i w tej chwili odwrócił się i spojrzał na mnie. Twarz zarośnięta, nalana, obrzękła, szara, broda zwichrzona, przepleciona siwizną i szronem. Wargi ginęły w niechlujnych kudłach. Oczy przykuwały do siebie. Taki wyraz melancholji i tęsknoty mają wszystkie ich oczy, gdy w szabasowy piątek zawodzą wschodnie lamenty.

— Skąd tutaj żyd? — pomyślałem.

Poszedł dalej. Jeszcze raz go zobaczyłem kiedy przystanął przy okienku i sięgał za pazuchę. Znać było ogromny trud, bo ręka szukająca omdlewała z wysiłku wśród łat, fałdów, dziur, wtedy bezradnie patrzył w stronę zniecierpliwionej dłoni, która wysunęła się z ciepłej izby i znieruchomiała rozpostarta, czekająca.

— Prędko, nie ma czasu, dajesz, czy nie, nie masz, to won — już miało się zatrzasnąć okienko.

— Zaraz panie — mówił śpiewnie, dźwięcznie — o przebaczenie proszę, ja kaleka to mi trudno.

— Trza było sobie przygotować i trzymać w garści. Następny...

— Jak ja mam trzymać w ręce, kiedy takie zimno, ciała nie czuję.

O już, o już... wydłubał groszaki i kładł pojedyncze na deskę.

— Pięć — krótkie słowo wyfrunęło z wnętrza na kartce, umożliwiającej wstęp do przytułku

Ów przypadkowy przechodzeń poczłapał wgłąb korytarza i zginął w tłumie jak bezosobowy łachman między łachmanami.

Chodaki podążają to w lewo, to w prawo. Ilekroć drzwi się otwierają, wali mróz z ulicy. Mimo to, tutaj na korytarzu, w zimnie, w tającym śniegu, otrzepanym z tylu nóg, leżą ludzie zwinięci w kłębek. Nikogo to nie obchodzi. Wrzask, łoskot przebiega z jednego końca na drugi. Nic nie zdoła obudzić śpiących na posadzce. A może już nigdy się nie obudzą. Może jutro rozlegnie się trąbka pędzącego pogotowia, lub cicho zajedzie litościwa trupiarka, wysłanniczka dobroczynnej kostnicy. Czasem ktoś z leżących zadygoce, skurczy się, coś zamamrocze, zasłania ręką twarz, może przed widmem pałki. Czasem wyrywa się głos, jakby załkała posadzka. Czyjeś palce zgięte w szpony coś szarpią, coś drą. Wymowa tej szarpiącej ręki jest wstrząsająca. Przyszło mi na myśl, że ludzka filantropja miłosiernemi rękami wylewa swoje błoto, wyrzuca swoje odpadki w takie przytułki, aby tutaj zgniły owe „wrzody społeczne", pozbierane z bruków całego miasta.

Największy ruch panował w jadłodajni.

Przez okienko widać sprawy kuchni, pośpiech, i skrzętną bieganinę. Brat kucharz w białym kitlu narzuconym na twardy habit gospodarzy przy blasze w kłębach pary i zapachu gotowanej strawy, warząchwią czerpie z kotła jedzenie, nalewa do podsuniętych naczyń, wydaje pajdy chleba. Słychać stukot misek, nawoływania. Chciwe ręce porywają. Postacie odsuwają się pod ścianę, i stojąc, żłopią, chłoptają zupę, czy herbatę. Inni, rozgarniając ciżbę łokciami, podążają ku stołom zbitym z tarcic, z trudem zdobywają miejsce na ławie. Niech jeden drugiego potrąci, zaraz zrywają się przekleństwa. Oczami się bodą, pięściami grożą. W ścisku, w natłoku przeróżnych głosów kłóci się dwóch młodych żydów. O co? Bóg wie. Szwargot przeplatają najplugawszemi, polskiemi obelgami, jakby na świadectwo, że ich język niema tak bujnej fantazji. Wycharczą, wykrzyczą tyle wyzwisk, tyle przekleństw, i poco? Przecież jeden drugiego nie trzaśnie. Nie szkoda tyle wysiłku, złości, wrzawy, machań? Gdyby to ktoś z nas? huha! zarazby się polała jucha.

Przy stole siedział żyd, słuchał kłótni. zakołysał głową.

— Poco takie brzydkie słowa. Ja myślałem, że na świecie tylko takie zwierzę szczeka i gryzie, co ma cztery nogi i śpiczasty pysk. Ale tamten zwierz niema w gębie tyle świństwa i tyle złości, oj, nie, niema.

Poznałem go, to był ten, który mnie mijał, gdym wchodził do przytułku. Po wypowiedzeniu tych słów, rozwinął zmięty, zabrudzony papier jadł powoli, obojętny, daleki i obcy.

Nary biegły obok ścian. W środku izby stały stoły oblężone rzędami jedzących. Łyżki chrobotały o dna blaszanych misek. Słychać było mlaskanie, chleptanie. Niektórzy siedzieli na narach. Któryś podwinął nogawicę i w kudłach szukał, inny rozchylił łachy i drapiąc się chwytał w palce i kładł na deski. Inni oparci o ścianę, tępym wzrokiem patrzyli na zażerających się. Wśród tych stał barczysty chłopak, wyróżniający się od reszty zebranych zdrowym wyglądem. Widocznie od niedawna tutaj przebywał. Twarz młodzieńcza, rumiana, nieco oprószona szarym pyłem, jeszcze nie upodobniła się do tych napuchłych, obrzękłych. Z bark zwieszał się narzucony płaszcz. Patrzał na jedzących, czasem bezwiednie poruszał wargami, jakby połykał widmo tamtej strawy. W pewnej chwili oderwał się od gromady, przepchał się przez ciżbę ku stołom, stanął przy jednym i uderzył go łapą po ramieniu.

— Te, daj kawałek. Uważasz dzisiaj nic, no, nic, od wczoraj.

Zaczepiony zakrył garścią leżącą kromę i bez słowa żarł, nabierając łychą z pełnej miski.

— Co zakrywasz, psia twoja mać, nie dasz po dobroci, to nie daj, gwałtem ci nie wydrę.

— Nie proś, poco prosisz, wiesz, on nikomu nie da, poco się hańbisz proszeniem, — mówił żyd siedzący po drugiej stronie stołu, usiłując palcami zdrowej ręki przełamać skibę chleba.

— No wiem, że nie da, ale myślałem, przecie ma ludzkie czucie, jak każdy.

Tamten jeszcze bardziej się rozparł, nabierał łychą zupę, zagryzał wielkiemi kęsami. Kiedy padło głośniejsze przekleństwo, błyskał groźnie ślepiami i zpodełba rzucał wściekłe spojrzenia.

— Co się czepiasz pętaku? chcesz, to ci zamknę jadaczkę, no co? Żyd długo nie mógł się uporać z kromką, wysuwającą się z bezsilnych palców, wkońcu przełamał i połowę swego chleba podawał ponad łbami jedzących.

Chłopak przeniósł spojrzenie z ręki dającego na twarz i burknął.

— Od ciebie nie chcę.

— Dlaczego ty odemnie nie chcesz? Czy myślisz, że ja głodniejszy od ciebie, ty tak nie myśl. No weź, ja mam jeszcze, o patrz — ręka podająca znieruchomiała nad stołem.

— Nie wezmę — chłopak ostro rąbnął, jakby na znak, że więcej w tej sprawie nie myśli mówić.

— Weź, dlaczego nie bierzesz, ja ze szczerego serca daję, nie mam dużo, ale chcę się z tobą podzielić, dlaczego nie chcesz — pytał natarczywie z najwyższem zdumieniem, nie mogąc pojąć, dlaczego głodny odtrąca chleb z taką ochotą podawany.

Chłopak odwrócił się i cisnął krótko, dobitnie.

— Boś żyd.

Kilku zaryczało przytupując z uciechy.

— Boś żyd, teraz wiesz.

— Dlatego, że żyd ci daje? — zająkał się stary. — Skąd ty wiesz, żem żyd.

Ktoś podskoczył, zerwał czapę i parsknął śmiechem.

— Po kudłach poznać, żeś żyd, ino żydy mają takie kudły.

Przeniósł wzrok z jednego na drugiego, na twarzach wszystkich widział obelżywy wyraz. Stał bezradny, nędzny, wystawiony na pośmiewisko. Zrazu nie wierzył temu, co słyszy, jakby to nie odnosiło się do niego. Po chwili uzmysłowił sobie całą prawdę. Zawstydzony zachichotał, chcąc zakryć zakłopotanie.

— To od żyda głodny nie może chleba wziąć? Uśmiać się można, ha! ha! Żeby chleb był też parszywy. Tyś taki sam, jak ja, biedny, nieszczęśliwy człowiek. Co ty masz? beton pod głowę, co ty masz? rynsztok — zadygotało, zachwiało się ramię, i opadło na stół i leżało bezwładnie, wciąż drgając. Znać było, że niema sił podnieść. Siedział z ręką zaciskającą kurczowo kawał chleba. Usiłował coś rzec, głos zadźwięczał głucho i utknął w gardle. Żyd zachrypiał i kaszlnął, chcąc wykrztusić słowo, które zawadzało. Już nic nie mówił, trwał w zamyśleniu, jakby zapomniał o całem zajściu.

Obecni żarli, kopcili, bujali jeden drugiego, aby wycyganić parę groszy, na zupę, na papierosa. Gwar cichnął. Milcząco przysuwali się z zaciekawieniem, może wybuchnie awantura, może dojdzie do bitki. Huha! Można się wtedy uśmiać, aż bolą bebechy. Kilku ryczało.

— Judos psiapara, a kto Pana Jezusa ukrzyżował?

Żyd nie bronił się i nikomu nie odpowiadał, wciąż w milczeniu łamał skibę, ujmował w palce kęsy i niósł ostrożnie do ust. Zdawało się, że kaszlnął stężałym głosem.

— Jego prosiłeś, choć ci nie da, odemnie nie chcesz, choć ci daję. Nie chcesz, to nie bierz — jakby mówił nie do żyjących ludzi, ale do chleba. — Miałem jedną kromkę, przełamałem na pół, tobie pół, mnie pół. Podzieliłem sprawiedliwie.

Chłopak przyskoczył, pochylony nad żydem wydyszał.

— Nie chcę od ciebie, a wiesz dlaczego? Każdy żyd, toby utopił katolika w łyżce wody.

Stary nie przestając jeść, uśmiechał się dziwnie, smętnie i drwiąco.

— Czego ty taki głupi? czego się daje utopić w łyżce wody? Żeby w stawie, żeby w morzu, ale w łyżce wody, uf, śmiechu warte.

— A kto Pana Jezusa sprzedał? Ty Judaszu...

— Aj, aj, sprzedał? Jak mu się udało sprzedać taką wielką osobę, to miał kiepelę. Chciałbym mieć taką, jak on. Jeden żyd sprzedał Mesjasza? jeden żyd oszukał wszystkich, całą ludzkość? dziwne — skrzywił wargi — to on jeden miał rozum w głowie, a wszyscy głupie? dziwne. Cyc-cy że jedna taka mądra głowa, a wszystkie takie głupie, to zaco zaraz krzyczeć przez tyle lat? za co? — zatrząsł się, wypuścił chleb z palców, zerwał się z ławy, rozpostarł ramię w oberwanym rękawie ponad łbami i zawołał głosem silnym od uniesienia. — Jakby żydzi nie postawili krzyża na Golgocie to co? mów — rzucał rozognionemi oczami po obrzękłych, zarośniętych mordach i pytał zachrypnięty — no co? czego nie mówisz? On! Judasz! łachmaniarz przeklęty, on żebrak podniósł, wywyższył na krzyżu Tego, żeby każdy zobaczył i ty i ty i ty — tkał palcem po zdumionych. — Wszyscy widzą. Tyle lat, tyle wieków i zato i zato nagroda — nagle opadł, skurczył się, milczał, nie dostrzegając nikogo. Wargi bezsilnie poruszały się, ale nie mogły wymówić tego, co w nim żyło. Po długim czasie napłynął zatracony głos, ukształtował się jeden wyraz, potem drugi — Katolik? Żyd? Pan Bóg jedność stworzył na świecie. Na początku wszyscy byli bracia, Pan Bóg tak zrobił, żeby jedli z jednej miski, żeby pili z jednego kubka. A teraz człowiek na człowieka war-war, hau-hau. Wiesz kto to zrobił?

— No kto?

— Nasze i wasze rabiny. Żyd? Katolik? I tyś biedny i ja biedny, i ty nie masz co jeść, i ty nie masz co pod głowę podłożyć i ja też. Nie bój się, tutaj rabin z Góry Kalwarji nie przyjdzie, nocować, ino taki jak ty i ja. Powiem ci tyle, biedny jak drugiemu daje kawałek chleba, to nieraz daje mu z pod serca krew i wielki grzech odtrącać chleb z takiej ręki. Chodzę po mieście i proszę. Jeden da, drugi odgoni. Nie wiem kto daje, nie wiem kto odgoni. Po rękach, co biją kijem i co dają grosz, co dają chleb, nie poznać, czy one żydowskie, czy one katolickie. Ja, żyd, chodzę do tego żyda z tamtej kamienicy. Ile tam lokatorów, ile pięter do góry? ani porachować. No i co? wiesz co mi daje?, „psiakrew, tyle dziadów, ani się opędzić, złam pysk". To ja nic nie mówię i odchodzę głodny a jak spotkam stróża, to on mi coś da, czasem biedniejszy podzieli się tem, co ma. Nie ten da co ma, w kieszeni, ino ten co tu ma — wiesz — wskazał na łachman gdzie kryje się serce.

— Alebyś nie jadł odemnie słoniny — ktoś zażartował — trefne.

— Czego nie? co nie trucizna, to można jeść. Jedzenie, to nie kamień, to nie szkło. Nie jem słoniny, bo nie mam zębów i nie mam czem pogryźć.

— Tyś mądry.

— Jaki mądry. Niema mądrości na świecie. I najmądrzejszy nie jest mądry i najmądrzejszego oszuka mądrzejszy. Ino jeden Pan Bóg jest mądry.

Przez cały czas chłopak stał na uboczu. Wytrząsnął resztki tytoniu i zlepił papierosa. Ćmił, zaciągając się dymem. Nie skończył. Z zagasłym niedopałkiem, przylepionym do warg słuchał uważnie z głową wyciągniętą ponad pochylonemi barkami zebranych. Już dawno zniknął z jego twarzy szyderczy wyraz. Coś się w nim odmieniło, coś sobie uświadamiał. Głos żyda nabierał przedziwnej mocy, jakby wieścił nowe prawdy, tak nieznane, obce tym rynsztokowcom, szumowinom, którzy z łokciami opartemi na stole, wpatrując się w kudłatą twarz, w jego oczy palące się, słuchali bez drwiących uśmiechów. Zerwał się głos z piersi chłopaka, chcącego coś wytłumaczyć, z czegoś usprawiedliwić się.

— Wiesz dlaczego nie chciałem od ciebie chleba?

— Nie chciałeś, to nie wziąłeś.

— Nie mówiłem ci, teraz ci powiem, bo masz brudne graby, teraz wiesz? Patrz na moje, widzisz — podsunął swoje łapy żylaste, napęczniałe gruzłami. — Myję i mam czyste, a wiesz przy jakiej cholernej robocie jestem? w garbarni, potąd, po łokcie gniją mi ręce w gnoju i świństwie.

— Twoje czyste, a moje brudne, tak, tak — żyd pokiwał głową nad jego prawdą — jak ona ma być czysta, jak ja ją mam myć — ujął w zdrowe palce rękę bezwładną, opuchłą, popękaną, obmarzłą, podniósł ją, aby wszyscy zobaczyli kalectwo. Już miał opuścić zawstydzony. Ramię zadrżało, jakby uderzone spojrzeniami patrzących, potem znieruchomiało. Żyd przyglądał się długo, uważnie i do tej ręki uśmiechnął się z bezgranicznem współczuciem, jakby do istoty

JUŻ WYSZŁO Z DRUKU

WACŁAWA BERENTA

ONEGDAJ

mowa miana przy otwarciu Akademji Literatury z drzeworytami ST. OSTOI-CHROSTOWSKIEGO

Cena egz.: na papierze zwykłym . . **zł. 2.—**
na papierze simili japońskim, egzemplarze podpisane przez W. Berenta i St. Ostoję-Chrostowskiego . . . . . **zł. 9.—**

udręczonej, wzgardzonej i najnieszczęśliwszej. Poruszył palcami raz i drugi. Dobrze, że ona żyje, że choć ma czucie. Jak ją umyć? włożysz do wody? to mało, trzeba namydlić, obetrzeć. A kto ci pomoże. Jedna ręka została, żebym miał czem żebrać.

— Powiedz, to ci każdy pomoże umyć.

— Pomoże? — wyrzekł, jakby miał modlitwę odmawiać śpiewnym, a tak rozdzierająco smutnym głosem. Jakbym cię prosił, to powiesz, ty w d.... j...., parchu odwal, bo w mordę. Kiedy byłem na wsi, to przyszedł do mnie stary, co po prośbie chodził. Głodny był, koszuli nie miał. To ja przyniosłem wody, dużo wody, nalałem do balji i obmyłem go całego. Nic pytałem go, czy on katolik, czy on żyd, ja wiedziałem, że przyszedł do mnie biedny człowiek — patrzał w przestrzeń tamtych lat i tknięty szczęśliwą myślą uśmiechnął się do obrazów jawiących się, tak radośnie, że oczy i usta jednako zapłonęły.

— Cyl cyl to były czasy, święte czasy. Mój tatuś sadownikiem był, bo my są ze wsi. Jednego lata tatuś arendował sad na plebanji. Miałem ośm lat, pilnowałem owoców. Przy mnie taka laga gruba. A ja spałem bom się bał, a ludzie bali się tej lagi i nic kradli. Czasem ja leżę pod drzewem i nie śpię. Jak spać w taką noc. Wiatr cicho chodził i szu i szu, a gałęzie tak robiły — wykonywał ręką ruch kołysania — i pac i pac, ładnie, jakby z nieba spadały. Patrzałem w górę i tyle widziałem, że ani spamiętać, że ani wypowiedzieć. Całe niebo z wszystkiemi gwiazdami żydkowi świeciło, biednebu żydkowi, co sadu pilnował — opowiadając nikogo nie widział, zasłuchany w szelest tamtych drzew z dzieciństwa, wpatrzony w najjaśniejsze gwiazdy, świecące nad daleką wsią, którą tak dawno opuścił.

Chciał coś powiedzieć, zwierzyć się z wielkiego szczęścia i wymówił — Ksiądz.

To słowo rozwiało uśmiech na ustach, można rzec, rozjaśniło obrzękłą, ziemistą twarz. Zamknął oczy i szeptał.

— Raz ksiądz mnie woła — ty Lejzorku, chodź, to ja idę, a on się pyta, czy ty jesteś głodny. To ja mu grzecznie mówię, jak nie jem cały dzień, a tatuś chleba nie zostawił, to ja jestem przeważnie głodny. Będziesz jadł chleb? — Czego nie, chleb od Pana Boga. To on przyniósł chleba z serem, dużo, o taki kawał. Ja obmyłem ręce, pomodliłem się, jak trzeba, z czapką na głowie, a potem czapkę zdjąłem, przecie nie można inaczej. A ksiądz widzi, że ja zdejmuję, to on się pyta, czego nie jem w czapce. To ja mu mówię, proszę ojca duchownego, jak ja znajduję się na plebanji, to inaczej nie można. On wziął mnie tak do siebie, przycisnął ręką i pocałował, o tu pocałował i powiedział: tyś powinien jeść w czapce, jak ci zakon każe i położył czapkę na moją głowę.

— Cicho parchu! Ksiądz ciebie? taką mordę.

Żyd nie zważał na te okrzyki.

— Tyle lat, tyle lat, a jego słowa, jak wszystkie gwiazdy na niebie zaświeciły nademną. Nie wstydził się i nie brzydził i nie powiedział żyd i nie powiedział parch, ale tak przycisnął i pocałował o tu, o tu. Ojciec umarł, bida wygnała mnie ze wsi do miasta, a tu z bidy na bidę. Nosiłem worki, zachorowałem, robić nie mogę, teraz tutaj... Mnie źle było, ja jeść nie miałem, a jak sobie o nim pomyślę, to mam samą radość w sercu. Tyle lat, tyle lat, a wciąż widzę, wciąż czuję. Takie szczęście mnie spotkało na całe życie. Dobry ksiądz. Żeby on przyszedł, to jabym na kolana przed nim. Ręce całować, takie ręce, święte. Jedne na sto lat. Widzisz ksiądz żyda pocałował—stary żyd miał wyraz mistycznego uniesienia, jakby wciąż patrzył w oczy tamte tak dobre, miłosiernego księdza.

W tej izbie zrobiło się jaśniej. W ciszy dźwięczały słowa, jakby zdawały sprawę z jednej prawdy, z miłości, w obliczu tamtego miłosiernego człowieka. Łachmany znieruchomiały. Kudłate łby pochylały się. Na spługawionych wargach zjawiły się uśmiechy radosne i pogodne. Oczy rozjaśniły się weselem, którym w tej chwili wszyscy byli przepełnieni. Powtarzali jedno imię.

Obudził się żyd. Przytomnie popatrzył po zebranych. Na ustach i w oczach trwał wyraz szczęśliwy, jakby przelot serca w spojrzeniu i w uśmiechu.

Tamten chłopak jednym rozmachem odsunął wszystkich, stanął przed żydem i zaczął bić się w piersi, wytrząsać pokolei kieszenie. Patrzył bezradnie na okruchy, spadające na stół. Chwycił kogoś i żebrał.

— Pożycz bracie, oddam. Dzisiaj muszę się z nim urżnąć. Chodź — chwycił żyda za ramię — uradujemy się po bratersku, wszystko na wódkę. Ja postawię. Napijemy się.

— Żebyś mi płacił sto dolarów za tyli kieliszek, co ten paznokieć, to nie wypiję. Dziwne, dziwne — żyd kręcił głową — trzeba się uchlać, żeby braterstwo zobaczyć.

— Widzisz, gardzi tobą — okrzyki podjudzały młodego.

Łachmaniarze, odpadki społeczne, padlina ludzka pozmiatana z rynsztoków, wszyscy obecni pozrywali się i otoczyli obydwóch, stojących naprzeciw siebie.

— Gardzisz? co? gardzisz? za co? — walił się pięścią chłopak.

— Czego się ciskasz?

— Nie gardzę i nie ciskam się. Żebyś ty miał sto miljonów, a ja żebym miał pięćdziesiąt, tobyś ty mi pomógł, a ja tobie. A tak to co? Ty leżysz na betonie, ja leżę na betonie. Tyś nieżywy, ja nieżywy. Co trup trupowi pomoże?..

Już nic nie rzekł. Wyczerpany ciężko opadł na ławę, łapiąc oddech resztką płuc, ujmował ostatnie kęsy w palce, zgarniał w skupieniu okruchy ze stołu. Brudny, kudłaty, sznurkiem przepasany żyd, który ma władzę w jednej ręce na to, aby nią żebrać. Dzisiaj staje pod tą, lub tamtą kamienicą, patrzy w głuche okna, puka w twarde drzwi, a jutro kiedy się będzie wlókł ulicą, zesunie się na bruk, zabrudzi łachmanami chodnik, zatamuje na chwilę ruch i potrącany, przeklinany, z kamieni spojrzy poraz ostatni w błękit nieba i błękitem nieba się uśmiechnie.

Dzielił się chlebem, którego nikt nie chciał przyjąć, wyciągał rękę, którą każdy odtrącał. Stąd widzę tę rękę brudną, udręczoną, nieszczęśliwą, opuchłą, przemarzłą, podającą wyżebrany chleb ponad łbami zmarnowanego człowieczeństwa. Patrzę w czeluść nory, w oczy rozjaśnione wewnętrzną prawdą, aby złowić spojrzenie: żywy ogień serca.

Żyd łachmaniarz, nędzarz, żebrak Lejzor Milbrott z przytułku noclegowego, Dzika 4.

ZOFJA SZMYDTOWA

PIERWIASTKI PLATOŃSKIE W DZIADACH DREZDEŃSKICH

Młody Mickiewicz walczący o nowe tereny dla ducha i poezji znajduje pomoc i oparcie w nauce Platona. Przenika ona Dziady wileńskie, ułatwia poecie obronę demonologji ludowej, przedstawienie idealnej miłości, powoduje w pewnej mierze atak przeciw poezji, zakłócającej równowagę myśli i charakteru, kształtuje obrazy ziemi i nieba.

Głębokie przeżycie Fedona i Rzeczypospolitej, leżące u podstaw Dziadów wileńskich przetrwało w pamięci poety, by w nowych zastosowaniach nabrać nowego wyrazu. Dziadów cz. III przynosi niezwykle oryginalne przetworzenie myśli i obrazów Platona w artystycznym i ideowym stopie utworu.

Konrad, wznosząc się w Improwizacji w sfery międzyplanetarne, duchem swym wywołuje zmienny ruch gwiazd, grę świateł i dźwięków. Jest to zobrazowanie siły twórczej, która nie znajduje na ziemi pola działań, dlatego sięga wyżej. Wizja bohatera ma unaocznić jego nadludzką moc, ukazuje go jako potęgę, obejmującą we władanie wszechświat. Konrad wolą swą wprawia w ruch lub zatrzymuje cały system planetarny, który widzi w postaci muzycznego instrumentu, w budowie podobnego do szklanej harmoniki. Koncert niebieski bohatera staje się próbą jego sił twórczych, próbą fantastyczną.

Elementy opisu wskazują wyraźnie na model tego obrazu, zawarty w Rzeczypospolitej — Platona. Opowieść Hera, syna Armenjosa, znajdująca odbicie w wielu późniejszych działach literackich, nie z nich przenika do wyobraźni Mickiewicza, ale z pierwowzoru. Her opowiada, co widział poza ziemią, w sposób dokładny, jak przystało na sumiennego świadka, podróżnika po nieznanym kraju, który ten kraj odkrył i zwiedził.

Chodzi tu o objektywne sprawozdanie, o ścisłość opisu, nie o nastrój patrzącego. Her przynosi wiedzę o budowie wszechświata. Jego układ przedstawia w kształcie 8-miu sfer niebieskich. „Wygląda tak — wyjaśnia — jak gdyby w dużym, wydrążonym, wyżłobionym kręgu tkwił inny mniejszy... Brzeg największego kręgu jest różnokolorowy, siódmego błyszczy najjaśniej, ósmego przejmuje barwę od siódmego, który światło nań rzuca, brzegi drugiego i piątego podobne mają barwy i przebija w nich więcej niż w poprzednim żółtość, trzeci jest najbielszy, czwarty czerwony, szósty białością drugie zajmuje miejsce... Całe wrzeciono obracając się zawsze w tym samym kraży kierunku... Obraca się zaś... na łonie Ananki. U góry na każdem kole stoi Syrena wespół z niemi krążąca i wydaje jednolity ton głośny, które to ośm tonów razem harmonję tworzą“ [1]).

Her bardzo szczegółowo opisuje ruchy kół, ich zmienną szybkość i kierunek. Z platońskiego wrzeciona Mickiewicz robi harmonikę, instrument muzyczny, który zgodnie z przedstawieniem Hera „gra i płonie“. Dialog grecki przedstawia obrót kręgów, jako coś stałego, dramat polski wprowadza moment wtargnięcia ducha ludzkiego w sfery niebie kie, zakłócenie praw odwiecznych. Konrad nietylko gra na gwiazdach własną pieśń, ale w pewnej chwili przerywa grę i wtedy okazuje się, że nikt jej nie wszczyna; cały układ planetarny zatrzymuje się w biegu.

W przedstawieniu gry uderza silne spotęgowanie elementów dźwiękowych i świetlnych na tle powieści Hera. Jego lakonicznemu omówieniu 8-miu tonów, sprowadzeniu ich do gamy muzycznej, przeciwstawia się zespół efektów, które biją w nas, jak nawała:

Milijon tonów płynie; w tonów milijonie
Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;
Zgadzam je, dzielę, łączę,
I w tęczę i w akordy i w strofy plączę...

Fantastyczna kompozycja Konrada, ogarniająca wszystkie dziedziny sztuki, dobywająca z harmoniki niebieskiej głosy, światła, kształty, rzucająca w przestrzeń słowa, które „lecą, Rozsypują się po niebie, Toczą się, grają świecą“... jest skoncentrowaną, ale obrazowo i emocjonalnie niezmiernie spotęgowaną wizją wszechświata. Wybuch liryczny nie mógł pomieścić szczegółów opisu, który stał się elementem pomocniczym w oddaniu nadnaturalnej mocy ducha bohatera i przyczynił się do plastycznego obrazu jego współzawodnictwa z Bogiem.

Gdy Her patrzy i obserwuje, Konrad zdobywa władzę nad kosmosem i wywołuje w nim przemiany. Jest to romantyczne przejście granic ludzkich, bunt człowieka przeciw ładowi bytu, triumfujące zapanowanie nad dziełem Stwórcy. Wola bohatera przeobraża sferę wiecznej harmonji w pole walki.

Opisując pośmiertne losy ludzi, Her przedstawia chwilę powrotu duchów na ziemię, gdzie je czekają nowe wcielenia — w słowach: „i nagle stąd porwani zostali jeden w tę, drugi w tamtą stronę ku nowemu życiu, lecąc niby gwiazdy“. W Dziadach spadają tak zbuntowane anioły i zbuntowani przeciw Bogu ludzie:

Runęły z niebios, jak deszcz gwiaździsty, Aniołów tłumy,
I deszczem lecą za niemi codzień mędrców rozumy.

W scenie IX Guślarz wskazuje Kobiecie na zjawiające się duchy zmarłych:

Widzisz tych świateł tysiące,
Jakby gwiazdy spadające?
Tych ognistych ciąg łańcuchów?
To powietrznych roje duchów.

Jest to udramatyzowanie słów Hera przy charakterystycznem dla poety wzmożeniu efektów świetlnych.

W koncepcji Dziadów drezdeńskich, w ich budowie wielką rolę odgrywa idea snu. Oddaje on dusze bohaterów we władanie zaświata, wyzwala z cielesności lub pogrąża w niewolę zmysłów. Od stopnia doskonałości człowieka zależy charakter jego snu. Wstręt budzą w nas rozkosze i męki śpiącego Senatora, pełne uroku są widzenia Ewy, anieli ogłaszają wniebowzięcie Księdza Piotra.

Na takie rozumienie snu przez poetę, złożyło się wiele czynników, których tu poruszać nie będziemy. Za wysoce prawdopodobne należy uznać dominujące działanie Platona. W jego dialogach Sokrates często powołuje się na sny, z któremi się liczy, usiłując ich sens wyrozumieć, gdy nie są dość jasne. We śnie usłyszał nakaz pisania poezyj, a uważając go za wolę bóstwa, wbrew powołaniu i poglądom na poezję, postanowił przerabiać wierszem popularne bajki greckie.

W Rzeczypospolitej mamy ponadto interesującą teorję snu, najzupełniej odpowiadającą jego roli w Dziadach. Sokrates dowodzi, że stan człowieka we śnie zależy od gatunku ducha, że wówczas najmocniej ujawnia się jego istota. Dla jednych sen jest wyzwoleniem tkwiącej w naturze zwierzęcości, dla innych przejawem związku ze światem doskonalszym, którego na jawie osiągnąć nie można. „Gdy kto czystego będąc serca do snu się układa — stwierdza Sokrates — to w tym stanie już samej dotyka prawdy“ (str. 515).

Bohaterowie Mickiewicza we śnie ujawniają właściwości swojej natury, stykają się ze swem przeznaczeniem pośmiertnem i uzyskują podtrzymanie w trudach ziemskich. W Dziadach wileńskich demonologja ludowa nabrała wagi dzięki nauce Platona, w drezdeńskich platońska teorja snu sięgnęła głębiej, bo w sferę doświadczeń i wiary poety. Stało się zarówno ważnym czynnikiem w charakterystyce postaci, jak też środkiem kompozycyjnym, decydującym o budowie scen i ustalaniu ich wewnętrznego związku. Poeta dramatyzował konstrukcje metafizyczne filozofa. To co dla Platona było wynikiem rozumowania, opowieścią lub opisem, stawało się w Dziadach czynnikiem akcji.

Mickiewicz przetapiał myśli i obrazy dialogów greckich w wybuchy liryczne, w wizje o potężnej ekspresji, plastyczne i nastrojowe, w dramatyczne sceny walki.

Um., 1929, str. 613, 614.
nisław Lisiecki. Kraków. Nakł. P. Akademji Um., 1929, str. 613, 614.

K O L U M N A A R

BARBARA BRUKALSKA

ARCHITEKTURA POSPOLITA

1) Wieś polska; 2) Ulica w Amsterdamie; 3) Nowe osiedle mieszkaniowe w Vieusseux pod Genewą

Istnieje pewna niechęć i pogarda do rzeczy zdarzających się często, szacunek zaś do rzadkości. Bezwątpienia nie sama ilość odgrywa tu rolę decydującą, ale także i opinja mówiąca, że przedmioty rzadkie są oryginalne i mają wartość duchową, pospolite — tylko utylitarną.

Podoba się nam jednak polska wieś rozciągnięta wzdłuż drogi, a jest przecież utylitarna i pospolita, jak rzeczywistość z której wyrosła.

Jakkolwiek dawna architektura wsi nie da się dziś kontynuować, ani tembardziej naśladować, w okresie swego rozwoju wypełniała ramy zakreślone przez ówczesne warunki ekonomiczne, socjalne i techniczne.

Rzemieślnicy-artyści nie genjusze bynajmniej, wprowadzając stale drobne udoskonalenia doszli do ustabilizowanego stylu, wyrazu współczesnej epoki. Prawie klasycyzm...

Plan ogólny wsi z jej mieszkaniami, zabudowaniami gospodarskiemi i kościołem został rozwiązany celowo; wytworzyły się tu także nieliczne powtarzające się typy domów najlepiej odpowiadające wymaganiom i możliwościom mieszkańców.

Kościołek, jako budynek o specjalnem przeznaczeniu wyróżnia się usytuowaniem i wielkością, ale pod względem architektury mieści się w tych samych, co domy mieszkalne, ramach rzeczywistości, chociaż cel jego nie jest tak bezpośrednio utylitarny. W owych czasach nikt jeszcze nie boi się pospolitości. Słowa: oryginalność, genjusz, indywidualizm i wiele podobnych nie były używane.

Tych słów nie znali także dawni mieszczanie.

Mając ustalone warunki ekonomiczne i klasowe, budowali sobie domy zupełnie podobne, jeżeli nie identyczne, to może dlatego, że technika rzemieślnicza nie nadaje się do wytwarzania seryjnego Obecnie klasami najbardziej ustabilizowanemi (chociaż w zupełnie innym rozumieniu) i zorganizowanemi, są urzędnicy, wojskowi i robotnicy. Dla nich też w pierwszym rzędzie zaczynają powstawać domy mieszkalne o wyższej technice i organizacji.

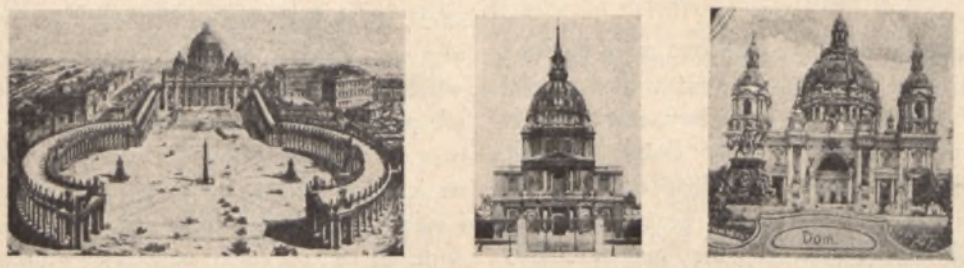

1) Bazylika Św. Piotra w Rzymie; 2) Dom Inwalidów w Paryżu; 3) Katedra w Berlinie

Poprzednie pokolenia nie mogły korzystać w całej pełni ze zdobyczy techniki, gdyż były niezorganizowane. Rozbite społeczeństwo stało się pastwą wolnej konkurencji.

Powstały stąd styl konwencjonalnego snobizmu jeszcze do dzisiaj niejednemu imponuje.

Mówi się tu i owdzie o „koszarowości" zbyt mało urozmaiconych elewacji, ale nasze umysły i nasze nerwy żądają, aby architektura miast była tak powtarzająca się i pospolita, jak w lesie powtarzają się drzewa, jak codziennym widokiem jest niebo, jak bezbarwny jest śnieg. Ta pospolita architektura to ciasto z jakiego ulepione są miasta.

Rodzynki, które powinny dodawać całości smaku, to budynki specjalnego przeznaczenia, będące wyrazem wyższych potrzeb społeczeństwa.

Zrozumiałe jest, że architektura ich powinna mieć cechy pewnej oryginalności, aby wyodrębniały się ze spokojnego tła architektury pospolitej. Zachodzi tylko pytanie jaka ma być ta oryginalność, aby nie dała w sumie rezultatu mniej niż średniego.

1) Wycinek planu Paryża; 2) Śródmieście Londynu; 3) Fragment fasady kamienicy wielkomiejskiej

Niegdyś wielcy władcy wyzwalając indywidualizm potrafili ozdobić swoje miasta tej miary dziełami, co plac Św. Piotra lub Inwalidzi. Nie przeczuwali pewno, że kierunek przez nich wyznaczony doprowadzi wkońcu do katedry w Berlinie. Ludwik XIV dostałby zimnych dreszczy, gdyby mógł zobaczyć tę beztroską obfitość, pilastrów, kroksztynów, gzymsów...

Tymczasem architektura pospolita, pozostawiona sama sobie, dziczeje stopniowo, sterelizuje się z wszelkiej kultury, aż do utraty nazwy „architektura". Małe spekulacyjki gruntowe skromnych łyków, marzenia o kamieniczkach z oficynkami, potroszeczku realizowane w dowolnych miejscach placyków — oto obraz przedmieść Warszawy.

Uderza tu brak organizacji — chaos.

Architektura budynków specjalnych inną drogą dąży do swego upadku.

Znawców i genjalnych architektów przybywa coraz więcej, zadania się rozdrabniają, oryginalność staje się nagminna aż dochodzimy do... ulicy Filtrowej, aby przekonać się, jak szkodliwa może być „twórcza myśl architektoniczna" jeżeli nie jest dostatecznie uzgodniona ze zwykłą myślą urbanistyczną i społeczną. I znowu to samo:

Brak organizacji — chaos.

Tak więc, jeżeli paryscy Inwalidzi są rodzynkiem soczystym i smakowitym, to warszawskie szyki wieżyczkowo-wykuszowe przypominać mogą wysuszone i robaczywe koryntki, kupione po sezonie.

Niezależnie jednak od wysokości poziomu ten typ architektury nic wiąże się z całością miasta.

Plac Św. Piotra jest poprostu parawanem, zasłaniającym rudery, o sto metrów od Luwru ludzie mieszkali w norach pod jezdnią.

Im smaczniejsze rodzynki tem ciasto więcej czuć było stęchlizną.

Architekci skarżą się, że są niezrozumieni.

Czy jest w tem coś dziwnego, że rzymianin trudniący się uliczną sprzedażą czosnku nie wczuwał się w trudności kompozycyjne term Maksencjusza, że praczkę z baraków naprawdę nie interesuje zestawienie materjałów we wnętrzu B. G. K.

Gorzej.. nie interesuje to nawet zamożnego mydlarza z Marszałkowskiej, ani nawet normalnie skłopotanego inteligenta.

Zagadnienia sztuki rodzynkowej warstwom najliczniejszym są zupełnie niepotrzebne; zrozumiały a przez to i budzący zazdrość może być tylko **luksus.**

Tę zazdrość już znamy.

Cały wiek XIX to sycąca się zazdrość pospólstwa. Mieszczanie zbyt długo widzieli pałace tylko zzewnątrz, by nie skorzystac z możności zamieszkania podobnych. Wznieśli olbrzymie ilości ozdobnych wielkich pałaców, aby wszystkich nowych ludzi uczcić jak arystokratów.

Oto po stu latach degradacji ornamenty Berniniego i Mansarda zdobią trzypiętrówkę pana Maciejaka na Kruczej.

Paradoksalne miasta współczesne rozległe, przeludnione, monotonne, krzykliwe, ozdobne i nędzne potrafią odebrać ludziom słońce i drzewa, a nie dać dachu i pożywienia. Możniejszych żywcem zamurowują w ciemnych domach, dając im kwiaty z gipsu na suficie i rozległe widoki na ekranie. Ale ludzie kochają swój smutny luksus, po śmierci nawet nie chcą opuścić stłoczonego miasta, aby wypocząć w łonie matki ziemi.

Trumny swoje ustawiają na wzór królewskich w murowanych grobach. Oszczędność zmusza wprawdzie zacną rodzinę do pomieszczenia się na 4 m² w 3 warstwach po 7 osób. Zapakowani jak sardynki są równie dalecy od dostojeństwa jak natury.

Nurtujący jednak spodem prąd techniki wypływa na wierzch, zalewa suchą sztukę snobizmu.

Związana mocno z rzeczywistością, a przez to izolowana od ówczesnej sztuki technika podbija świat swoją dziką pięknością i siłą. Technika to jedyne dzieło XIX wieku, którego nie zatruł jad umarłej arystokracji.

W naszem pokoleniu słyszało się już głosy, że prawdziwa sztuka to nie wytwór zmanierowanego artysty, szukającego piękna w bezcelowych wygibach, ale szczera, uczciwa, celowa technika.

Istotnie jest coś beznadziejnego w architekturze końca XIX i początku XX wieku. Formy renesansu przekazywane przez setki lat wyschły i zmartwiały. Rozwój przemysłu ostatecznie podciął korzenie sztuki, opartej na rzemiośle. Odrzucono więc ją jako kłamstwo. Ale moralność współczesna potrafi tysiąc sztuk ekwilibrystycznych, aby wymigać się od przykrego zetknięcia z rzeczywistością. Zastąpiono więc stare poczciwe kłamstwo, nieuchwytną blagą, kryjącą się tak samo w subtelnem estetyzowaniu jak w „brutalnym przekroju życia". Zaczęło się obnażanie modnej naówczas „jaźni", bezcelowe błądzenie w subjektywizmie. — Secesja, a potem grasująca do dzisiaj secesja przyprawiona kubizmem: L'art decoratif 1925.

To są, miejmy nadzieję, końcowe stadja rozkładu, już niczego więcej na tej drodze spodziewać się nie można.

Zwycięstwo secesji niewiele dało pozytywnego.

Sztuka końca XIX w. miała jeszcze formy ongi celowe, wkońcu używane bez sensu i bez liku, zaś secesja i L'art decoratif nie ma nawet tych wątłych ram usztywniających; kaligraficzne jej formy powierzchownie tylko przypominają jakąś treść: coś z empiru, gotyku ze „stylów" ludowych, amerykańskich drapaczy chmur...

Oryginalność staje się regułą obowiązującą wszystkich. Powstaje linja głęboko wyczuta, którą bez żenady stosować można zawsze: na przestrzeni pięćdziesięciu centymetrów lub metrów; może to być wielki kościół, kiosk wystawowy, podstawka do patery....

Jeżeli architektura karmiła nas bezmyślnem estetyzowaniem, zmiennem jak moda i męczącem jak zajęcie modnisi, to nic dziwnego, że technika oparta na rzeczywistości pozwalała odpocząć nerwom przez coś, co nie jest kłamstwem, a posiada pewne cechy wdzięku i siły natury.

Zadania techniki są jednak zupełnie inne niż architektury. Architektura musi sama spełnić swoje zadanie, ale do tego trzeba odrzucić łamigłówki i świecidełka, i spojrzeć w oczy groźnej rzeczywistości współczesnej. Tą rzeczywistością jest nowe niezmiernie powiększone przez demokratyzację społeczeństwo.

Architektura musi zasymilować całą potrzebną wiedzę techniczną, ekonomiczną i społeczną, aby zaspokoić małe lecz zwielokrotnione potrzeby szerokich warstw.

Obniżenie poziomu architektury — tak... obniżamy go aż do zetknięcia z rzeczywistością i od tego momentu możemy zacząć ją budować.

Uczciwość musi obowiązywać równie architekturę mieszkań robotniczych jak i gmachy ministerstw, regulację placu targowego jak i placu, gdzie stanąć ma świątynia Opatrzności.

Jeżeli obawiamy się zakłamania L'art decoratif w górnych sferach, to równie groźnym jest duszący miasto pierścień zdziczałej architektury pospolitej.

Uszlachetnić architekturę pospolitą, snobizm młodych warstw społeczeństwa zastąpić zamiłowaniem do prostoty, znaleźć prawdziwy wyraz i miejsce dla architektury specjalnej — to byłoby zaczynić smaczne zdrowe ciasto.

Budować miasta nie zaczynając od rodzynków, ale przedewszystkiem myśląc o ludziach, o tysiącach ludzi pospolitych, którym trzeba zorganizować przestrzeń na mieszkanie, pracę i odpoczynek, dać architekturę tak objektywną i ustabilizowaną, żeby ją można było nazwać **klasycyzmem,** i tak silnie wrośniętą w rzeczywistość współczesną, aby ją również nazywać **modernizmem** — oto jest zadanie dla naszego pokolenia.

1) Wieża Bismarka; 2) Fontanna na Wystawie Paryskiej; 3) Projekt gmachu rumuńskiej Akademji Literatury

CHITEKTURY

JERZY MAKOWIECKI

O ROZPLANOWANIE WYBRZEŻA

Na wybrzeżu robi się ciasno...

W kilka lat jeszcze, po ustaleniu naszej państwowości, zdawało się, że nie potrafimy opanować tego skrawka pustego brzegu morskiego, a nasz bezpośredni dostęp do morza był ciągle zagadnieniem teoretycznem, tematem literackim, sentymentem raczej, niż dążeniem sił twórczych narodu. Dopiero przełom roku 1926-go wyłonił z siebie realne dążenie ku samodzielnej ekspansji zamorskiej. Zagadnienie to stało się elementem zasadniczym w naszej polityce gospodarczej. Zaczęło się szybko realizować wielkie dzieło — budowy największego portu nad Bałtykiem. Przy porcie wyrosło miasto, a magistrala węglowa powiązała je z ośrodkiem przemysłowym i kopalnianym Państwa. Propaganda morza, robiąc z roku na rok siedmiomilowe postępy, obudziła w społeczeństwie pęd ku morzu. Przestaliśmy być szczurami lądowemi; z najdalszych krańców Polski ciągną pielgrzymki ku piaszczystym brzegom Bałtyku. Latem Wybrzeże roi się od letników, a więzy gospodarcze coraz silniej zespalają je z resztą Państwa. Rozwija się nasza morska potęga obronna.

Nad morzem jest już ciasno! Poszczególne zagadnienia eksploatacji Wybrzeża zaczynają kolidować ze sobą. Sprawa właściwego ich ujęcia i skoordynowania staje się palącą. Nagły, a szybki rozwój jakiejś miejscowości, nie ujęty zawczasu we właściwe normy, — wyraża się zawsze chaotycznym sposobem zabudowy.

Eksploatacja naszego Wybrzeża idzie w 3-ch kierunkach: 1-o — w kierunku zużytkowania pobrzeża w najszerszym stopniu, jako bazy do ekspansji ekonomicznej na morze; 2-o — rozwoju naszej Marynarki Wojennej i systemu obronnego Wybrzeża; 3-o — wykorzystania jego właściwości dla celów kultury fizycznej, turystyki, oraz pod względem klimatycznym i leczniczym.

Chronologicznie biorąc, najpierw zaczęły powstawać i rozwijać się nad morzem miejscowości letniskowe. Letnicy rozpraszali się po całym Wybrzeżu, lokując się po chatach rybackich i mocno prowizorycznych „pensjonatach", powstających samorzutnie tu i tam. Najmniej letników dążyło nad pełne morze, w stronę naszej zachodniej granicy, ze względu na trudności komunikacyjne. Największe skupienia powstały w Gdyni, Helu i Jastarni. Miejscowości te zaczęły się zabudowywać. O ile w Gdyni dzielnica letniskowa ześrodkowała się na Kamiennej Górze i ruch budowlany został w pewnym stopniu ujęty w ramy jakiegoś planu regulacyjnego, o tyle rozbudowa Helu i Jastarni rozwinęła się zupełnie dziko. Pamiętamy Hel jako piękną wieś rybacką, zabudowaną jednolicie, wzdłuż zadrzewionej drogi, domkami rybaków holenderskich. Teraz Hel wygląda jak wielki śmietnik. Budowano, gdzie kto chciał i jak kto chciał, obrzyliwe domki, kurniki, z białej wapiennej cegły przeważnie. Plany zatwierdzał sołtys, lub wójt w Pucku. Tak powstała wśród sosnowych lasów, otoczona piękną, ciągnącą się wiele kilometrów plażą, największa polska miejscowość klimatyczna nad morzem. To samo stało się z Jastarnią, gdzie „kuracjusze" gnieżdżą się w warunkach prymitywnych, urągających często wymaganiom higjeny.

Obecnie zaczyna się proces wypierania letników z zatoki gdyńskiej nad pełne morze, a i tam ich stan posiadania jest zagrożony. O Gdyni, jako miejscowości kąpielowej nie mamy co mówić — plaża zniknie, a Kamienna Góra stanie się dzielnicą mieszkaniową miasta. Ślicznie położone Orłowo, ze względu na szczupłą plażę, nie ma warunków rozwoju. Hel stanie się prawdopodobnie bazą naszej floty wojennej i rozwój jego, jako letniska zostanie zahamowany. W Wielkiej Wsi — Hallerowie ma powstać duży port rybacki na pełnem morzu. Półwysep helski tak pieczołowicie zalesiany dla umocnienia tego wąskiego skrawka lądu nie nadaje się do zużytkowania w szerszym zakresie dla celów klimatycznych i powinien zachować zasadniczo charakter rezerwatu. Gdzież mają się podziać biedni letnicy, spragnieni morza, plaży i słońca? Już obecnie przebywa nad morzem, w czasie sezonu, kilkanaście tysięcy letników, nie licząc turystów, wycieczek przybywających na krótkotrwały pobyt, obozów letnich młodzieży i t. d. Należy się liczyć, w ciągu jeszcze szeregu lat, ze wzrostem nasilenia wyjazdów wypoczynkowych nad morze, daleko wyższym od przyrostu naturalnego ludności, o ile oczywiście powstaną odpowiednie ku temu warunki. Czy są jeszcze tereny nad morzem odpowiadające potrzebom miejscowości klimatycznych? Tak! — jest piękny brzeg nad pełnem morzem od Hallerowa począwszy w stronę jeziora Żarnowieckiego i granicy niemieckiej, piękne plaże, malowniczo położona Jastrzębia Góra, Lwi Jar, Karwia, i inne sąsiednie miejscowości. Tu mogą powstawać nowoczesne sanatorja, hotele, pensjonaty, obozy letnie dla szerokich rzesz pracowników i młodzieży. Aby jednak uniknąć tego, co stało się z półwyspem Helskim, należy najpierw stworzyć warunki ułatwiające rozwój tych miejscowości; należy opracować plany zabudowy, przewidzieć parki, tereny sportowe, wyposażyć w niezbędne urządzenia, wodociągi, kanalizacje, zaopatrzyć w tanie światło elektryczne, ułatwić dowóz materjałów budowlanych, środków aprowizacyjnych i t. p. Piękna autostrada nie rozwiązuje kwestji komunikacyjnych.

Przechodząc teraz do drugiego zagadnienia — musimy stwierdzić, że rozwój sytemu obronnego Wybrzeża i rozbudowa baz morskich naszej floty wojennej wymaga wiele terenów specjalnych i przygotowania zawczasu rezerw terenowych. Tu względy strategiczne decydują. Nie zawsze jednak, dany teren jest jedynym odpowiednim dla pewnych zadań, a często chodzi o usytuowanie objektów mniej ważnych i wtedy pewien kompromis byłby możliwy. Lecz, aby o tem mówić, należałoby mieć najpierw ogólny plan rozdysponowania naszych szczupłych obszarów nadmorskich. Oto właśnie chodzi. Jeszcze jedna sprawa się nasuwa. Wojsko zabudowuje się na swoich terenach jak chce i plany zabudowy objektów wojskowych są zatwierdzane jedynie przez władze wojskowe. Otóż nie tylko ze względów urbanistycznych, lecz właśnie strategicznych byłoby pożądane, aby sposób zabudowy objektów wojskowych był sharmonizowany z charakterem danej miejscowości, czy dzielnicy, w której są usytuowane. Powstaje więc konieczność uzgodnienia interesów, które mogłyby kolidować ze sobą.

A teraz zagadnienie zasadnicze — przystosowanie i zabudowa Wybrzeża dla celów państwowej polityki gospodarczej na morzu. Rozwój handlu morskiego, ze stałem dążeniem do wzmożenia jego intensywności, to nietylko dalsza budowa portu gdyńskiego, ewentualnie innych portów o znaczeniu specjalnem, lecz w związku z tem rozwój przemysłu i handlu, rozbudowa Gdyni i innych miast, powstawanie nowych ośrodków przemysłowych, mieszkaniowych i t. d. Sprawa ta ujęta jest narazie planowo w wąskich ramach samej Gdyni. Istnieje plan budowy portu, przewidujący rozbudowę na długi szereg lat. Istnieje również plan regulacyjny miasta Gdyni; krytykę tego planu pozostawiamy na razie na uboczu; zresztą wykonanie jego jest zawieszone; ma powstać nowy projekt regulacji poprawiony. Tymczasem zaś okolice Gdyni zabudowują się zupełnie bezplanowo, w sposób najbardziej chaotyczny. Powstają całe miasteczka prawie, zamieszkałe przeważnie przez ludność, robotniczą, różne „Drewniane Warszawy" (Oksywje, Pogórze i inne) zabudowane jak w dzikich, dziewiczych stanach Ameryki, gdzie po odkryciu jakichś źródeł nafty, pierwsi pionierzy budowali w pośpiechu prowizoryczne osady. Nędznie sklecone budy, obok murowanych piętrowych oficyn, gęsto zabudowane jedne obok drugich bez wytknięcia ulic, nie licząc się zupełnie z żadnemi względami bezpieczeństwa i higjeny. Oto jak powstają samorzutnie nasze wzorowe „osiedla robotnicze". Tak samo zabudowują się i dalej od Gdyni położone miejscowości.

Istnieje jeszcze zagadnienie odrębne, autochtoniczne — organizacja rybołówstwa, oraz handlu i przemysłu rybnego.

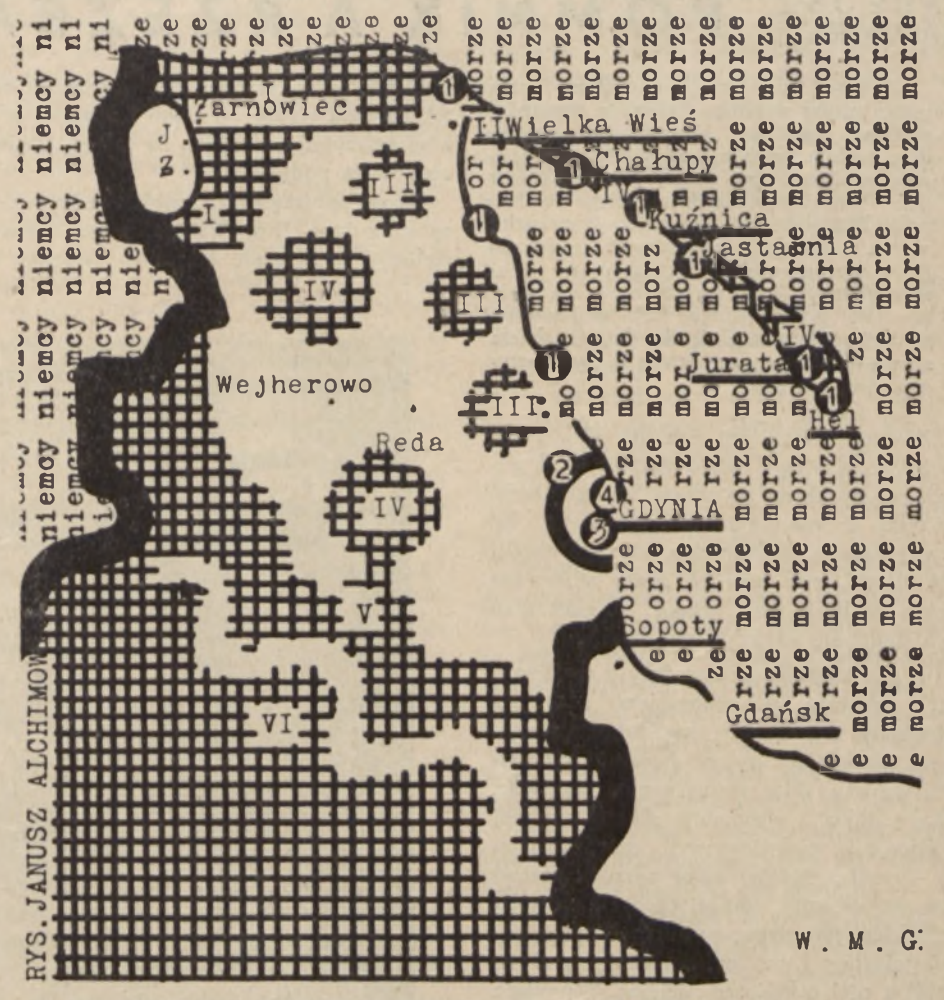

1) Śmietniki letniskowe, 2) pierścień nędzy, 3) port handlowy, 4) port wojenny.
I. Tereny letniskowe, II. Port rybacki, III. Rezerwaty rolne. IV. Rezerwaty leśne, V i VI. Tereny dalsze ciążące ku morzu. (Zaplecze aprowizacyjne).

Port gdyński, w swoim stałym rozwoju, obejmuje coraz to nowe dziedziny naszego importu czy eksportu morskiego. Między innymi powstała przed 2-a laty na nabrzeżu rybackiem chłodnia ryb. Jest ona w stanie przyjąć zaledwie 1/3 naszego importu. Polska sprowadza ryb morskich (w lwiej części śledzi) za około 75.000.000 zł. rocznie. Jednocześnie rozwija się nasze własne rybołówstwo przybrzeżne i powstaje własna flotylla rybacka dla połowów dalekomorskich. W państwach, gdzie rybołóstwo stanowi ważny dział gospodarki — ta dziedzina jest eliminowana z wielkich portów, ze względu na swój specyficzny charakter. Istnieją specjalne porty rybackie, gdzie jest skoncentrowany cały przemysł i handel rybny i które służą jako bazy dla flotylli rybackich. Przy porcie rybackim, poza przemysłem przetwórczym i pomocniczym, chłodniami i halami licytacyjnemi, garbarniami sieci i t. d. powstają kolonje mieszkaniowe, baraki dla rybaków, którzy w pewnych okresach ściągają tu z całego wybrzeża; potrzebne są wielkie przestrzenie na suszenie sieci.

Istnieje projekt, ze wszech miar zasługujący na uwagę, aby, zamiast rozbudowywać urządzenia dla importu i handlu ryb w porcie Gdyńskim — stworzyć nowy port rybacki na pełnem morzu. Port na Helu obsługuje tylko małe kutry dla połowów przybrzeżnych i, jako położony w zatoce, nie nadaje się dla rybołówstwa dalekomorskiego. Jeszcze jeden wzgląd przemawia bowiem, za urządzeniem portu na wielkiem morzu — oto służyłby on za schronienie dla statków rybackich, zaskoczonych burzą; obecnie nasze kutry uciekają do odległych portów niemieckich. Najbardziej na urządzenie takiego portu nadaje się Wielka Wieś Hallerowo, ze względu na swoje centralne położenie na Wybrzeżu i najlepsze powiązanie komunikacyjne z centrum kraju. Tymczasem Wielka Wieś - Hallerowo rozwija się powoli, jako miejscowość wypoczynkowa; parceluje się i zabudowuje. Powstanie tam zaś dużego portu rybackiego, ze swym specyficznym zapachem (solenie śledzi odbywa się na nabrzeżu) przekreśla dotychczasowy charakter tej miejscowości, jako stacji klimatycznej.

Z temi, wysuniętemi przez nas zagadnieniami eksploatacji Wybrzeża, wiąże się sprawa jego aprowizacji. Należy pozostawić istniejące b. szczupłe tereny rolne, jako rezerwaty, należy określić dalsze obszary, bezpośrednio ciążące ku wybrzeżu, jako jego zaplecze aprowidujące. Dalej należy wprowadzić odpowiednią sieć komunikacyjną.

Racjonalne wykorzystanie naszego szczupłego wybrzeża wymaga więc specjalnych studjów i rozwiązania wielu skomplikowanych i trudnych zagadnień, które należy rozpatrywać łącznie, gdyż zazębiają się one mocno o siebie. Najmniejszy odcinek cennego brzegu nie powinien być zmarnowany. Musi również znaleźć właściwe ujęcie i strona estetyczna zagadnienia: chodzi nam tu o usunięcie pierwiastka przypadkowości w charakterze zabudowy, aby stworzyć z Wybrzeża jakąś powiązaną ze sobą całość.

Istniejące przy Starostwie Morskiem w Wejherowie Biuro Zabudowy Wybrzeża nie może wypełnić tych zadań. Dlatego też powołanie do życia biura planu regjonalnego Wybrzeża uważamy za sprawę palącą. Na tym terenie, przy ścisłej współpracy zainteresowanych czynników dałoby się rozwiązać wszystkie kwestje, tak często kolidujące ze sobą. Opracowanie planu regjonalnego wymaga wielu lat studjów i pracy. Należałoby pomyśleć o zaopatrzenie Biura tego w środki egzekutywy, aby mu dać możność regulowania w tym czasie wszelkich poczynań, zgodnie z wytkniętemi zamierzeniami.

Gdynia. 1) Dzielnica t. zw. Budapeszt między ul. Śląską a lasem. 2) Oksywie. Ulica dzielnicy.

POLEMIKA W SPRAWIE POMNIKA POLE

TADEUSZ MAKOWIECKI — POMNIK A RZEŹBA

Artykuł poniższy, nadesłany nam przez autora w końcu listopada, zapowiadaliśmy już w „Pionie", ze względów technicznych nie zdołaliśmy go jednak zamieścić tak samo, jak artykułów gen. Wieniawy-Długoszowskiego i Karola Krzewskiego. Drukujemy go jako wyraz stanowiska krytycznego, poważnego i motywowanego argumentami artystycznemi, a więc mającego — niezależnie od pozytywnego czy negatywnego ustosunkowania się do danego dzieła sztuki — zawsze pozytywną w życiu artystycznem wartość.

Edward Wittig jest zanadto poważnym rzeźbiarzem, a jego dzieło ostatnie — za poważnym wysiłkiem twórczym, by ograniczyć się tylko do okolicznościowych uwag, by powstrzymać te zastrzeżenia, które powstają, gdy dzieło jego mierzyć miarą stosowaną wobec wielkich dzieł sztuki. A zastrzeżeń tych budzi się wtedy jednak sporo.

Już geneza pomnika świadczy o możliwościach uchybień w harmonijnem i konsekwentnem rozwiązaniu zagadnień rzeźbiarskich. Umierający rycerz bowiem był kiedyś, w roku 1916, w pierwszym projekcie, tylko jednym z elementów skomplikowanej kompozycji wielofigurowej, przedstawiającej — walkę. Później autor odrzucił postaci dwu wojowników zmagających się ze sobą nad ciałem poległego; wyodrębnił tylko postać poległego i, przestylizowawszy ją nieco, zrobił z niej całość samodzielną. Wyrwanie jednak fragmentu z całości kompozycji mścić się musi.

Pierwszem niebezpieczeństwem artystycznem wyodrębnienia był fakt, że postać umierającego w grupie Walki ukazana była tylko w widoku frontowym, gdyż stojący za nim rycerze zasłaniali go od tyłu. Usunięcie tych postaci i umieszczenie rzeźby na środku skweru pomnożyło punkty widzenia, z których kontynuować można dzieło. Trzeba przyznać, że wielkie poczucie bryły, którem przedewszystkiem działa i uderza Wittig oraz pewne przepracowanie leżącej postaci sprawiło, że niebezpieczeństwo to nie okazało się zbyt groźne w swych artystycznych konsekwencjach. Jedynie wygięte barki i kark rycerza, widziane od strony schodów Zachęty, tworzą zbyt już połamaną i pogiętą sylwetę, która nie tłumaczy się ani treściowo, ani formalnie.

Znacznie poważniejsze okazało się drugie niebezpieczeństwo. W grupie Walki postać poległego tworzyła najniższą linję z potrójnie załamującego się zygzaku linij, powstałych z osi trzech ciał męskich spiętrzonych jedno nad drugiem. Biegnąca silnie na prawo linja postaci poległej zrównoważona była niezwykle mocnem odchyleniem w przeciwną stronę drugiego rycerza, a horyzontalność poległego wojownika znajdowała zadośćuczynienie kompozycyjne w pionie trzeciej postaci. Usunięcie obu figur górnych usunęło zarazem odpowiedniki kompozycyjne dla postaci dolnej, przygniecionej i wtłoczonej w ziemię niewiadomo jakiemi siłami. Ciekawie na motywie ostrych trójkątów — jak słusznie zaznaczył p. Wieczorkiewicz — zarysowana postać poległego rycerza, wyszczerbiająca się złamanym profilem torsu i nóg, zyskała może przez to na bolesnej, dramatycznej ekspresyjności, straciła jednak napewno na monumentalności, a choćby na zupełności swego kształtu.

Zemściło się na tem także porzucenie drugiego projektu przeznaczenia tej rzeźby. Miała ona podobno stanąć na cmentarzu. Umieszczona nisko pod kolumną, krzyżem, czy choćby pod pionowym prostokątem tablicy z napisem, mogłaby w tamtych linjach zyskać choćby częściowe zamknięcie kompozycyjne, choć częściową równowagę dla swej poziomej i poszarpanej sylwety. Ale i to jej wydarto — musiała stanąć sama.

Musiała stanąć sama na ruchliwym placu w centrum stolicy. Aby jej nadać niezbędną dla tej roli monumentalność, której brak jej było organicznie — od momentu wyodrębnienia — autor postanowił znacznie powiększyć jej rozmiary i dodał podstawę. Oba środki chybiły celu; a ostatni może najbardziej ze wszystkich zaszkodził dziełu.

Za wąski kuferkowaty cokół (podobno nie pomysłu autora) podsunięty pod masywną bryły, ciążącej bezwładnie ku ziemi, odsunął rzeźbę od ziemi i zawiesił ją — kompozycyjnie w próżni, na jakiemś prowizorycznem podjum.

Kiedy spojrzymy na najbliżej z Rycerzem spokrewnioną Ewę Wittiga, postać równie ciężko i bezwładnie leżącą — widzimy że

można jednak harmonijnie rozwinąć jej umieszczenie. O wiele mniejsza w skali, ustawiona bezpośrednio na trawniku ogrodu — płynnie i organicznie wynika ze swego otoczenia. Ewa jednak jest rzeźbą ogrodową,

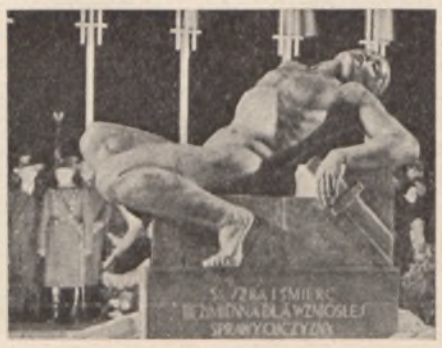

rzeźbą dekoracyjną, a rycerz ma ambicje pomnikowe. Tu dochodzimy do ważnej sprawy. Umierający rycerz jest również rzeźbą dekoracyjną.

Aby ominąć dłuższe, teoretyczne wywody na rzecz tego twierdzenia — posłużę się analogją, analogją uderzającą. Takie same w swej istocie kompozycyjnej nagie postaci dekoracyjne wpół leżące na płytach dał w dwuch parach bliźniaczych Michał Anioł w kaplicy Medyceuszów. Podkreślam, że nie chcę bynajmniej tutaj twierdzić o wpływie Michała Anioła na Wittiga, a jedynie o analogicznych zasadach konstrukcji, które tkwią w obu grupach dzieł. Gdyby umierającego Rycerza i Ewę przysunąć ku sobie skroń mi to mielibyśmy Wittigową grupę Zmierzchu i Jutrzenki wyraźnie pokrewną tamtym w swem założeniu formalnem.

Pomijam obecnie kuszące próby bliższego zestawienia obu grup dzieł, wykazania różnic wspólnego ujęcia pokrewnych motywów — ograniczam się do analogji tkwiących w istocie tych rzeźb. Otóż postaci Michała Anioła nie są samodzielne. Dopiero przez związanie ich w grupy po dwie uzyskał twórca równowagę linij skośnych, rozwiązujących się harmonijnie, a przez silne wysunięcie trzonu z centralną postacią Medyceusza zjednoczył poziom i pionowością, wreszcie przysunął je do ściany i zezwolił na widok jedynie frontalny. Oczywiście, nie chcę przez to powiedzieć, by rozwiązanie kompozycyjne jakie zastosował Michał Anioł było niewzruszalnym kanonem — ale jakieś rozwiązanie przecież być musi. Gdyby ktoś chciał poprostu Noc czy Poranek wynieść z kaplicy Medyceuszów na plac we Florencji — to, choćby trzy albo cztery razy powiększył rozmiary rzeźby, nie uczyni z niej samodzielnego pomnika, ani monumentalnej całości — pozostanie ona zawsze fragmentem lub conajwyżej rzeźbą dekoracyjną. Taksamo — z rycerzem Wittiga.

Wiedzony intuicją artysty musiał to wyczuć sam twórca, gdy wybrał miejsce pod pomnik, nie na głównej osi skweru, ale nieco na uboczu. Mimowiednie bowiem rzeźba ciąży w stronę tej osi, apeluje do nieobecnego, ale wyczuwalnego akcentu, który tam stać powinien, i wobec którego skrzydłem rzeźbiarskiego tryptyku byłby Rycerz.

Zamykam rozważania. „Umierający Rycerz" jest jedną z najlepszych rzeźb Wittiga, a więc i jedną z lepszych rzeźb Polski współczesnej. Wspaniały tors rycerza, patos muskulatury, bolesny, dramatyczny skręt ciała i odgiętej głowy — tworzą całość, która chwyta wyobraźnię i wraża się trwale w pamięć widza. Ale... **Ale „Rycerz" będąc mocną rzeźbą — jest zarazem słabym pomnikiem.** Nie jest to paradoks; pojęcia te nie są równoznaczne. Choćby Lotnik Wittiga jest, jako rzeźba, dziełem o wiele prostszem i łatwiejszem—a jako pomnik jest przecież wielokrotnie doskonalszy od Rycerza. Wreszcie jeden przykład. Napewno — przygarbiony, ujęty w pancerz i przykryty płaszczem, Zygmunt III-ci nie jest najznakomitszą rzeźbą stołeczną — a jednak mimo to — łącznie z kolumną i podstawą — jest napewno wciąż jeszcze niedoścignionym, najpiękniejszym pomnikiem Warszawy.

ANTONI WIECZORKIEWICZ — ATAK P.

W pierwszym tegorocznym numerze „Wiadomości Literackich" p. Jerzy Hryniewiecki wystąpił z ostrym atakiem na pomnik Poległych Peowiaków Wittiga ustawiony na skwerze przed gmachem warszawskiej „Zachęty". Artykuł swój zatytułował: „Nieporozumienie przed „Zachętą", tytuł słuszny o tyle, że ostatni pomnik Wittiga wywołał istotnie wiele dość charakterystycznych nieporozumień i bardzo ostre krytyki, które jednak nie wyszły poza ramy rozmów kawiarnianych, nie skonkretyzowały się w formę rzeczowych argumentów, operując więcej dowcipnemi złośliwostkami.

I nic to chyba było rzeczą złą, że „Umierający Rycerz" spotkał się z ostrą krytyką, ale to, że krytyka ta nie ujawniła się w konkretnej formie drukowanego słowa.

Jeśli istotnie tak było, jak pisze p. Hryniewiecki, że „idea pomnika bohaterstwa i poświęcenia zamknęła usta krytykom artystycznym", gdyż „każdy zarzut artystyczny spotyka się z podejrzeniem szkalowania przeszłości narodowej", świadczyłoby to nie tylko o braku cywilnej odwagi tych krytyków, których sąd o pomniku był ujemny, ale także o braku z ich strony zrozumienia rzeczy tak prostej, jak to, że można składać hołd i cześć idei, zwalczając jednocześnie pomnik, który ma ją wyrażać. Nawet tem twardsza wtedy może być krytyka, bo będzie broniła idei przed takiemi sposobami jej uczczenia, które uważa za uwłaczające jej. To są zasady prymitywne poprostu.

Ale tak czy inaczej dobrze się stało, że p. Hryniewiecki odważył się ze skonkretyzowanemi zarzutami wystąpić. Jeśli pomnik wywołał sprzeciwy, jeśli wywołał ostrą krytykę, to należało tę sprawę wyciągnąć z kręgu, krzyżujących się przy pół czarnej rozmów i dowcipów, na światło, zebrać argumenty i otwarcie ruszyć do ataku.

Piszący te słowa uważa Wittigowskiego „Umierającego Rycerza" za dzieło bardzo wysokiej klasy, za najlepszą bodaj rzeźbę Wittiga i temu przekonaniu dał wyraz w artykule umieszczonym w „Pionie" z racji odsłonięcia pomnika, dał wyraz również o wiele dawniej, pisząc o tej rzeźbie w roku bodaj 1926 w „Głosie Prawdy", jako artystyczny sprawozdawca tego tygodnika.

Dlatego też czuję się niejako w obowiązku zabrać głos w obronie, jego zdaniem, skrzywdzonego dzieła rzeźbiarskiego i w obronie własnego o niem sądu, który na przestrzeni lat siedmiu nie uległ zmianie, był zarówno szczery dawniej jak i dziś i od zmian konjunkturalnych niezależny. Piszącemu te słowa idea pomnika nie zamknęła ust, jak nie idea lecz rzeźba sama usta mu otworzyła. Niewątpliwie tylko ta idea tak droga każdemu z nas, tak nam bliska i nasza własna, podwyższyła wymagania stawiane dziełu sztuki, które ideę tę miało reprezentować.

Zarzuty stawiane pomnikowi przez p. Hryniewieckiego dałoby się ująć w czterech punktach:

1. Przypadkowość pomysłu rzeźbiarskiego, z której wynika niewygodna i nie tłumacząca się pozycja leżącego mężczyzny.

2. Literacki patos.

3. Brak kompozycji architektonicznej i urbanistycznej, „ustawienie tej rzeźby ze szpetnym narożnikiem „Zachęty" jako tłem, odgrodzenie trawnikiem i czarną kratą od kamieni ulicy".

Wreszcie

4. Pozostawienie rzekomo na tym samym skwerze miejsca na pomnik Matejki.

To wszystko ma sprawiać, że „rzecz, która byłaby może znośna w innem miejscu, tu urąga wszelkim pojęciom o rzeźbie monumentalnej, pomniku, architekturze".

Czy i w jakim stopniu zarzuty te są słuszne?

Pomysł rzeźbiarski „Umierający Rycerz" wzięty jest z grupy „Walka". To prawda. Na to zresztą zwróciłem uwagę w moim artykule, podając reprodukcję „Walki". Ale jest nowem opracowaniem jednej z trzech postaci tej grupy. To nie jest przypadkowość.

Skąd zaczerpnięty został pomysł rzeźby, czyjego aktu jest to studjum — nie jest rze-

GŁYCH PEOWIAKÓW

HRYNIEWIECKIEGO

czą istotną. Podając na łamach „Pionu" reprodukcję „Walki" obok „Rycerza" chcieliśmy właśnie podkreślić ewolucję pomysłu, do której rzeźbiarz ma niezaprzeczalne prawo. Jeżeli rzeźba jest naprawdę dobra, to będzie ona dobra niezależnie od miejsca w którem stoi, niezależnie od takiego czy innego postumentu, na którym ją ustawiono. Właśnie taki pomnik-rzeźba integralna. Bo z pomnikami architektonicznemi, z rzeźbą dekoracyjną inna już nieco sprawa. Ale i w takim nawet wypadku zaduszony przez kawiarniane złośliwości i magistracką tępotę Dunikowskiego pomnik Wdzięczności Ameryce był piękną rzeźbą, choć źle ustawioną. Zniszczono go ku barbarzyńskiej radości t. zw. szerokiej opinji, o wiele wcześniej, niż zdążyła wyrość na nim projektowana jako tło ściana zieleni, niż zdążyła zniknąć obrzydliwa drewniana buda miejskiego szaletu.

Lecz według p. Hryniewieckiego „Rycerz" Wittiga nie jest rzeźbą dobrą, jest zaledwie może znośną w innem otoczeniu. Tylko wówczas, zdaje nam się, nie należałoby jej stawiać wogóle, bo rzeźb tylko „znośnych" nie należy stawiać jako pomników nigdzie, gdyż wtedy właśnie stają się nieznośne.

Nie chcemy przez to powiedzieć, oczywiście, że otoczenie rzeźby jest rzeczą obojętną, tylko, że w naszych warunkach warszawskich czekać zwykle trzeba na przystosowanie otoczenia do pomnika, bo w przeciwnym razie moglibyśmy stawiać w śródmieściu jedynie takie jak Godebskiego pomnik Mickiewicza.

Według p. Hryniewieckiego rzeźba Wittiga nie jest dobra. „Temat bohaterstwa wspaniały i wdzięczny dla rzeźbiarza został wyrażony z literackim patosem. Spokój cichej bezimiennej śmierci zakłócono realizmem agonji". Tu stajemy wobec największego nieporozumienia. Jeśli bowiem patos w „Rycerzu" Wittiga jest „literacki", to jakże to inaczej wygląda ów patos „rzeźbiarski"? I dlaczego śmierć bezimienna ma być koniecznie „spokojna i cicha"? Czy wówczas nie moglibyśmy powiedzieć z równą słusznością nie o patosie wprawdzie, lecz o nastroju literackim?

Patos, „niewygodna pozycja" umierającego, realizm silnie przestylizowany zresztą, może się komuś nie podobać, może odbiegać od czyjegoś kanonu estetycznego, jak Lessinga raziły rozwarte w krzyku usta Laokoona, jak przed laty kilkudziesięciu odmawiano wartości barokowym figurom siedzącym na wysokich gzymsach kościołów często ze zwisającemi nogami, właśnie z racji tych niestatycznych, niewygodnych pozycyj, ale nikt nie może mieć pretensji do tego by to „niepodobanie nam się" miało być uznawane za kryterjum.

Wreszcie zarzut trzeci: brak kompozycji architektonicznej i urbanistycznej. Tu p. Hryniewiecki ma dużo racji, jeśli chodzi o stan obecny, o **tymczasowe ustawienie pomnika.** Tylko, że zarzut to przedwczesny. Bo nietylko skwer przed „Zachętą" nie został przygotowany na przyjęcie pomnika, ale nawet podstawa jest tylko tymczasowa. I kształt skweru ulegnie zmianie, brzydka krata ogrodzenia zostanie oczywiście zniesiona, i również podstawa będzie zmieniona. Pomnik otrzymać ma tło z zieleni i w tem otoczeniu potraktowany będzie raczej jako figura dekoracyjna. Nie jesteśmy zwolennikami tej koncepcji. Wolelibyśmy raczej widzieć zrealizowany śmiały pomysł jednego z architektów, który „Umierającego Rycerza" pragnął umieścić na skwerze obok Wizytek, pokrywając całą powierzchnię zmniejszonego trójkąta skweru granitową płytą. Chociaż takie rozwiązanie może się znów nie podobać innym.

Pomnik montowany i ustawiany był pośpiesznie.

Chodziło o to, żeby stanął w dniu 11 listopada. Zapewne należało go wzorem zachodnim „przymierzyć" w odlewie gipsowym w kilku punktach miasta, zapewne próby z podstawą lepiej było robić zawczasu. Tylko, że na to czasu nie było. Zresztą to w niczem nie może z rzeźby dobrej zrobić złą.

Ostatni zarzut, że na tym samym skwerze stanąć ma pomnik Matejki, który tematem, podejściem i skalą nie dałby się oczywiście pogodzić z pomnikiem Wittiga, wynika z zupełnej nieznajomości sprawy pomnika Matejki przez p. Hryniewieckiego.

Figura Matejki miała stanąć na jednym z dwóch postumentów, znajdujących się po obydwóch stronach schodów wiodących do „Zachęty", jako pendant do projektowanej figury Wita Stwosza z drugiej strony. W wyniku konkursu (przed wojną jeszcze!) pracę tę otrzymał zasłużony rzeźbiarz Otto, któremu na roboty przygotowawcze wypłacono 1000 rb. ze składek zebranych w „Kurjerze Warszawskim". Model tej figury p. Otto posiada od lat kilkunastu, nikt się jednak dotychczas tem nie interesuje i może pożytecznym wynikiem dyskusji będzie, że sprawa ta nabierze aktualności. Głos tu ma przedewszystkiem zarząd „Zachęty".

Zarzuty p. Hryniewieckiego są, według nas, niesłuszne, powierzchowne, nienależycie umotywowane, niemniej przeto wystąpienie jego jest pożyteczne, gdyż konkretyzuje zarzuty dotychczas pokątne, a więc i nieuchwytne. Artykuł p. Hryniewieckiego jest podany w formie ostrej, napastliwej i nieprzyjemnie arbitralnej, jednak niema tam takich niesmacznych i nieprzyzwoitych złośliwostek, jak ta, której na łamach tychże „Wiadomości" dopuścił się nie tak dawno p. Sobański zapuszczając w swych „Notatkach Outsidera" bardzo ciekawie a nietrafnie wzrok do kieszeni Wittiga.

W końcowych zdaniach p. Hryniewiecki wpada w pewien patos bojowy. Pisze, że „sztuka staje się coraz bardziej urzędowa, a zarazem coraz bardziej nietykalna". Czemu nietykalna? Przecież to już jest efektowny frazes — nic więcej. Któż p. Hryniewieckiego krępuje w wypowiadaniu sądów o sztuce w piśmie, w którem pracuje?

A że poglądów i gustów p. Hryniewieckiego nie podzielał Komitet Budowy Pomnika Poległych Peowiaków o to do nikogo nie można mieć pretensji. Więc poco zamiast dyskutować rzeczowo, plątać takie szumnie wyglądające, lecz nic nie mówiące frazesy? To tylko mąci tok dyskusji — niepotrzebnie. A do poważnej i rzeczowej dyskusji nad dziełem sztuki naprawdę tęsknimy.

DYSKUSJE

LITERATURA UGŁASKANA

W Akademji toczyła się debata na temat nowej nagrody literackiej — nagrody Akademji. Punktem spornym był wiek laureata. W rezultacie przeważył pogląd, że nagroda Akademji Literatury będzie przyznawana pisarzom, którzy w chwili ogłoszenia dzieła nie liczyli więcej ponad lat trzydzieści.

Najpierw strona rzeczowa. — Ustanawianie specjalnej nagrody literackiej dla pisarzy pewnego wieku wydaje mi się wogóle nieuzasadnione. Zasada powinna być jedna: nagradza się dzieła wybitne. A czy autor dzieła ma lat piętnaście czy sto piętnaście, to niech pozostanie troską P. K. U. i urzędów meldunkowych, ale nie instytucji nawskroś literackiej, jaką ma być Akademja Literatury. Kryterjum wieku przy układaniu statutu nagród jest oderwane i nic nie mówiące. — W zasadzie. Bo na naszym gruncie uważam je za wręcz szkodliwe. — Trzeba sobie uprzytomnić jedną właściwość naszego piśmiennictwa współczesnego — jego niedojrzałość. Pisarze starsi są w swych koncepcjach i rzekomych odkryciach nieraz zadziwiająco młodzi. „Talent" zazwyczaj ma starczyć za wszystko, a kiedy się chce pisarzowi zrobić przyjemność, prawi mu się dusery o nadzwyczajnych „podpatrzeniach", „obserwacjach", „chwytach", „zdobyczach ekspresji". To co najważniejsze — centralna wizja świata, bez której z największym bodaj „talentem" napisana rzecz jest tylko ciekawostką literacką — zostaje poza dyskusją. Pisarze ścigają się u nas nie na polu wielkich koncepcyj, tylko na zawodowem półku umiejętności fachowych. „Sekrety" pisarskie — to ich domena. — A młodzi? — Powiedzmy otwarcie, że nasza awangarda literacka jest tyle słaba ile krzykliwa. Roi się u nas od ludzi zapowiadających — na początek — przebudowę od fundamentów „polskiej rzeczywistości" a potem zaraz wszechświata; ale zazwyczaj twórcy tych projektów kończą już po paru latach na jakiejś bardzo anemicznej polonistyce, na biurze czy bardzo układnem biureczku literackiem. Pod tym względem aniśmy do pięt nie dorośli Młodej Polsce z jej, bądź co bądź, wielkim rozmachem twórczym. Dzisiejsza awangarda nikogo nie oburza, nikt nie wyczuwa w niej niebezpieczeństwa, najwyżej epatuje ona — by użyć staromodnego wyrazu — „mydlarzy", a irytuje ludzi, którzy chcieliby doczekać się nowego pokolenia młodych tytanów. Jedno pozostało tej awangardzie w spadku po wszystkich jej poprzedniczkach: g o r ą c z k a w y d a w n i c z a. Żeby prędzej i żeby więcej.

W tych warunkach jedyna słuszna polityka — to robić wszystko dla pogłębienia nurtu naszego życia literackiego — a nie przyspieszać jego i tak zbyt gorączkowego owocowania. Opieka nad młodem pokoleniem literatów jest konieczna, ale winna się ona wyrażać w czuwaniu nad talentami, w umożliwieniu im pracy wewnętrznej, kształcenia się pisarskiego, a nie w dopingowaniu ich ambicyj wydawniczych, jak to właśnie czyni Akademja.

Na poparcie swego stanowiska może Akademja przytoczyć tylko — frazes, że to my, starsi pisarze, z młodemi, a jakże, ramię przy ramieniu i t. d. Ale tem daleko nie ujedzie.

Już to nasi akademicy tym razem nie zabłysnęli pomysłowością! Przecież ta nowa nagroda Akademji mogła naprawdę stać się pomostem między najwyższą literacką instytucją a społeczeństwem, gdyby umiano uderzyć w żywe punkty naszych potrzeb kulturalno-literackich. Czyż nie byłoby np. rzeczą słuszną ustalić nagrodę dla dzieła niepoczytnego, które w naszych stosunkach księgarskich nie może liczyć na wydanie ani na popularność wśród szerszej publiczności? Dajmy na to, powieść na tle życia zwierząt, napisana nie pod kątem „życia świadomego" ale w myśl głębszych założeń myślowych i artystycznych; czy powieść historyczna z „nieefektownej" epoki, czy romans biograficzny o postaci mało znanej, niepopularnej, a z pewnych głębszych powodów zajmującej?— Albo czy nie byłoby lepszem zużytkowaniem tych trzech tysięcy, przeznaczyć je dla autora dzieła naukowego, łączącego zalety wiedzy fachowej z wysokim stylem pisarskim i dostępnością szerszemu gronu czytelników, dla dzieła typu znakomitych prac Askenazego lub Tadeusza Zielińskiego? — Czyby wreszcie nie mogła Akademja zatroszczyć się o podniesienie kultury literackiej szerszych mas inteligencji, wyznaczając nagrodę za najlepszy dodatek literacki, który wprowadziły wszystkie niemal dzienniki polskie? To byłby gest nietylko literacki, ale i obywatelski, a zarazem znakomite zbliżenie Akademji do społeczeństwa, co przecie tej instytucji nie powinno być obojętne. Projektów zresztą takich i lepszych możnaby napewno wysunąć więcej. I niełatwo zrozumieć, jak instytucja mająca tak bogate możliwości w ręku, zdobyła się na tak szablonową decyzję.

Ale nie mniej niepokojący niż statut tej nowej nagrody jest przedziwny plaidoyer, który wygłosił w jej obronie Kaden-Bandrowski w „Gazecie Polskiej" z 29.XII 1933.

Kaden, broniąc nowej nagrody, wytoczył same argumenty bankietowe. To bankietowe rozanielenie generalnego sekretarza Akademji nie może być obojętne dla literatów polskich.

Posłuchajcie. „Aby zapobiec takim naiwnym „walkom" (pomiędzy starszem i młodszem pokoleniem pisarzy — d o p i s e k m ó j), aby wzmocnić łączność pomiędzy pokoleniami literackiemi, wreszcie aby samych siebie przymusić niejako do starannej uwagi i czujności w stosunku do najmłodszych, poświęcając im nagrodę, uchwaliła Akademja zupełnie wyraźną i konkretną granicę wieku nagrodzonych". — Do djabła, któż to pisze — znakomity powieściopisarz czy dyrektor banku? — Czyta się i oczom nie wierzy, żeby twórca tej miary co Kaden tak dalece nie zdawał sobie sprawy z dynamiki walk literackich i z ich wielkiej doniosłości kulturalnej. Wszystko zażegnać, konflikty ułagodzić, niby na imieniny szefa, żeby potem ładnie „wyszło" sprawozdanie. Program troszkę minimalistyczny. „Zapobiec", znowu „zapobiec"! Znowu jakaś nowa wersja poradni świadomego macierzyństwa! Wtłoczyć odwieczny i płodny proces kulturalno-historyczny, którym jest i będzie po wsze czasy walka o nowy pogląd na świat między nadchodzącem i ustępującem pokoleniem twórców w ramy jakiegoś świątecznego savoir-vivre'u, ugłaskać, zagadać...

Nie, tego żaden pisarz chcieć nie może, a taka „reforma obyczajów pisarskich" jest nam niepotrzebna. Rolą instytucji niosącej pomoc literaturze nie jest regulowanie procesów historyczno-kulturalnych, bo tu na innej drodze następuje wyrównanie, ale rozumne dopomaganie ludziom, którzy się czemś „wykazali", w których można „pokładać nadzieje". To — i nic więcej jeśli chodzi o praktyczne cele Akademji.

Wyobrażam sobie jak musi gorszyć Kaden-bankietowca (nie pisarza, rozdwojenie jest widoczne) obraz walk które wrzały za Młodej Polski! — Jakby to było ładnie gdyby Przybyszewski bywał na rautach u Tarnowskiego, gdyby Brzozowski całował się z dubeltówki z Weyssenhoffem i Sienkiewiczem, a Wyspiański czytał rękopis „Wesela" profesorom literatury! To byłoby życie!

Kaden w swoim artykule operuje argumentami uspokajającemi: żeby nikt się nie martwił o tę nagrodę dla młodych, bo są przecież inne nagrody dla starszych pisarzy; wszyscy będą sprawiedliwie obdzieleni. Owszem, strona materjalna zagadnienia jest ważna, i ani myślę zgrywać się na „bezinteresowność". Któż obliczy, ile krzywd nie do naprawienia wyrządziła literaturze bieda, ciągła szarpanina zaliczkowa, nieskończący się łańcuch drobnych, nieraz upokarzających, udręczeń? I jest to wielka zdobycz dla literatury, że te jej potrzeby zrozumiano, że się o jej los zatroszczono. To jest ważne — ale nie najważniejsze. Zagadnienie nagród literackich ma inne, ważniejsze strony, wiążące się bezpośrednio z losem już nie literatów, ale samej literatury. Tu potrzebne są inne kryterja niż bankietowy optymizm.

Jesteśmy świadkami dość dziwnej sytuacji. Gdy rząd przez usta premjera składa oświadczenie, dowodzące wyraźnie zrozumienia właściwej roli literatury w życiu narodowem; gdy przedstawiciel rządu przemawia w imię niezależności i niczem nieskrępowanego bujnego rozrostu literatury — instytucja nawskroś literacka, Akademja, operuje szablonem urzędowym i frazesem, a jej przedstawiciel przemawia w prasie do braci literackiej niby dyrektor biura do swych urzędników, zapowiadając czternastą pensję!

J. E. Skiwski

„PODNIESIONY KAMYCZEK"

P. J. E. Skiwski w swej „dyskusji" p. t. Podniesiony kamyczek w n-rze 13 „Pionu" z roku ub. scharakteryzował ostro „Przewodnik katolicki". W odpowiedzi na tę „dyskusję" — „Przewodnik katolicki" nadesłał nam... płatne ogłoszenie.

Księże redaktorze! — Po co tak? Przecież gdybyśmy otrzymali list, taki: od redakcji do redakcji, o zamieszczenie tego samego tekstu — to zamieścilibyśmy go z przyjemnością. Bo pomysł, by odpowiedzieć na naszych łamach takiem ogłoszeniem na dyskusję jest naprawdę dowcipny. Dopiero forma narzucania redakcji tego ogłoszenia poprzez administrację, swym brakiem elegancji psuje cały smak tego dowcipu!

Ponieważ jednak uważamy, że można dyskutować czy walczyć lojalnie — więc na tem miejscu podajemy czytelnikom nadesłane nam ogłoszenie. Brzmi ono tak:

WSZYSTKIM
SZAN. CZYTELNIKOM PIONU

którzy zainteresowali się treścią artykułu p. J. E. Skiwskiego w Nr. 13 Pionu p. t. „Podniesiony kamyczek", aby mogli **osobiście przekonać się o prawdzie jego wywodów,** przesyłany będzie na życzenie p r z e z c a ł y m i e s i ą c bezpłatnie
PRZEWODNIK KATOLICKI
Pismo tygodniowe wychodzące rok 40-ty.
Zgłoszenia kierować należy pod adresem:
Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.
Administracja Przewodnika Katolickiego.

WŚRÓD KSIĄŻEK

Szober Stanisław. Człowiek współczesny w zwierciadle języka. Nadbitka z czasopisma „Kultura i Wychowanie", zesz. 1. Warszawa, 1933, s. 81—92.

Dawniejsze badania stylistyczne, ograniczając się do rozpatrywania utworów i okresów literatury pięknej, zajmowały się niemal wyłącznie rozbiorem środków zdobnictwa językowego, t. j. figur i tropów retorycznych, rozbiorem schematycznym i powierzchownym. Nowa stylistyka wyszła daleko poza tę jednostronną i jałową wyłączność. Nie zamyka się ona w dziedzinie twórczości artystycznej, lecz dąży do ogarnięcia całego języka, nie pomija więc mowy potocznej. Rozszerzeniu uległy też cele badań stylistycznych; wyłączność nastawienia estetycznego została przezwyciężona. Nowa stylistyka „dąży — powiada prof. Z. Łempicki — do otwarcia szerszych perspektyw dojścia do głębi zjawisk językowych na podstawie duchoznawczej, a przez to do uchwycenia zasadniczych rysów kultury narodowej wogóle, a w pewnych okresach w szczególności".

Do badań tego rodzaju, u nas jak dotychczas wyjątkowych, należy artykuł prof. Szobera p. t. „Człowiek współczesny w zwierciadle języka", zamieszczony w czasopiśmie „Kultura i Wychowanie", redagowanem zajmująco przez Bogdana Suchodolskiego. Praca ta stanowi próbę dokonania charakterystyki postawy duchowej dni naszych na podstawie rozbioru frazeologji współczesnego języka. Autor dochodzi do wniosku, iż we frazeologji współczesnej odzwierciedlają się następujące znamiona życia jednostkowego i społecznego, cechujące naszą epokę: 1) w życiu duchowem jednostki wzmożenie pierwiastków intelektualnych, z jednoczesnem przytłumieniem pierwiastków podmiotowych, 2) w życiu społecznem przewaga grupy nad jednostką, 3) w postawie moralnej jednostki i społeczeństwa przewaga ilości nad jakością.

Jak się można domyślać, omawiany artykuł, wydany w osobnej odbitce, stanowi zapowiedź większej całości, w której autor rozwinie zapewne swe wywody, zapoczątkowujące na naszym gruncie nowy a płodny w wyniki kierunek badań stylistycznych. Takie właśnie, jak je prof. Szober pojmuje, próby zbliżenia językoznawstwa do życia i zainteresowania jego wynikami nietylko specjalistów (co jak się okazuje nie musi być wcale jednoznaczne z obniżeniem poziomu), zasługują na gorące powitanie.

Nawiasowo warto zaznaczyć, że podobne prace, mające za przedmiot współczesną frazeologję, obok doniosłości poznawczej mają również wartość praktyczną, gdyż szeregując zespoły modnych wyrażeń i zwrotów, przenikających z natręctwem owadów do języka literackiego, unaoczniają jaskrawo ich szablonowość i nagminność.

Terlecki Tymon. Listy tureckie Ryszarda Berwińskiego do Władysława Bentkowskiego i Karola Libelta. Odbitka z Kroniki Miasta Poznania r. 1932 i 1933, str. 32.

Listy te (z lat 1859—1861) rzucają światło na nieznany, turecki okres życia poety wielkopolskiego, a zarazem stanowią ważki przyczynek do dziejów polskiej formacji wojskowej w Turcji, będącej, jak słusznie określono, „jednym z najboleśniejszych epizodów historji porozbiorowej". W listach swych, pisanych z dużem zacięciem publicystycznem, „Officer Dragonów Ottomańskich", żołnierz Sadyka Paszy-Czajkowskiego, występuje w roli wyraziciela i żarliwego obrońcy idei „zbrojnej reprezentacji" polskiej na Wschodzie. Dla idei tej pragnie Berwiński pozyskać przyjaciół poznańskich, i powołując się na „Napoleoński aksjomat o broni jako ostatecznej racji narodów ujarzmionych", usiłuje natchnąć dawnych towarzyszy mocą swego przeświadczenia. Zamiary poety spełzły jednak na niczem, w Poznańskiem bowiem po roku 1846 i 1848 dokonał się odwrót od aktywizmu niepodległościowego i opinja kół bliskich kiedyś Berwińskiemu skupiała się raczej wokół stronnictwa pracy organicznej. Zresztą idea, której Berwiński tyle siły wewnętrznej i lat poświęcił, załamała się znów na pół stulecia w ogniu powstania styczniowego. On sam, „aktywista i rewolucjonista z rasy wewnętrznej", przeżył w związku z tem najboleśniejszy bodaj zawód w życiu.

Niedoceniany i rychło zapomniany, przez niektórych napiętnowany mianem renegata, nie doczekał się Berwiński monografji, któraby udatniej od prób dotychczasowych oddała sprawiedliwość tej tragicznej postaci, wyznaczając poecie, pisarzowi i działaczowi właściwe miejsce w dziejach kultury narodowej. Można się jej spodziewać od wydawcy omawianych listów, który w przedmowie i przypisach złożył dowody odczucia epoki i człowieka oraz opanowania źródeł.

T. Sterz.

J. L. Herlaine. Franciszek Pik-Mirandola. Pieśniarz miłości i niedoli. Warszawa. 1933, str. 205 + 5 nb. z portretem Mirandoli.

W świadomości ogółu Pik-Mirandola żyje jako drugorzędny tłumacz niekończącego się szeregu dzieł literatur Zachodu, przekładanych dla chleba. Poprawność i wierność tłumaczeń zostawia wiele do życzenia, toteż nazwisko jego zdeprecjonowało się poważnie.

Książka, którą nam daje p. Herlaine, wnosi do oceny Pika zupełnie nowe pierwiastki. Usuwają one odrazu na drugi plan zarobkowe zatrudnienie zbiedzonego pod koniec życia pisarza, a ukazuje nam jego własne oblicze.

Myśl odgrzebania zasług Pika była sprężyną całego dzieła. Można się nie godzić na wszystkie sądy autora, tyczące poezji z przełomu XIX i XX wieku, w których obniża zdecydowanie wyżyny, a podwyższa niziny, — zwłaszcza niejeden z czytelników obruszy się na pomniejszenie Jana Kasprowicza, jako poety, — tem mniej nie można odmówić p. Herlaine'owi jasno wytkniętych celów w rozgraniczaniu zasług i błędów poszczególnych twórców. Liczne wycinki ze zbiorów Mirandoli „Liryki", „Domus Ardens" oraz innych i z przekładów wprowadzają nas w ewangeliczny, nastrojowy i zwiewno-melancholijny świat Pika. Są w nich subtelne, ciche, zadumane wspomnienia, tęsknoty, rezygnacje i zasadnicza beznadziejność, tak charakterystyczna dla Młodej Polski, lubującej się w smutkach, kirach i pseudo-romantycznych pozach zrozpaczeńca. Dla epoki, w której powstały, utwory te istotnie ważne, przedruk ich w monografji Pika uważać należy za szczęśliwy pomysł.

Utwory prozą poprzedza p. Herlaine analizą techniki pisarskiej poetów i prozaików, palmę pierwszeństwa pod względem dojrzałości przyznając bezapelacyjnie prozie. W porównaniu z beletrystami, opowiadającemi historje wojenne, stawia autor wysoko bohatera swej książki, przytaczając poważne, prawie połowę dzieła wypełniające opowieści z cyklów „Tempore Belli", „Trepy", „Dziwna ulica".

Być może, pominął p. Herlaine umyślnie dział przekładów i końcowe prace swego bohatera, którym już nie przyświecały ideały artystyczne. Lecz suchy bodaj spis dokonanych prac w tej dziedzinie byłby busolą orjentacyjną na szerokich wodach przekładowych autora „Tempore Belli". Rozdział biograficzny również, zdaniem naszem, zbyt krótko zatrzymał się na szczegółach życia, wędrówkach i przedsięwzięciach Pika-Mirandoli.

Stanisław Helsztyński

Powieść o businessman'ach

Sinclair Upton. Zawrotna Karjera Amerykanina. Tł. Antonina Sokolicz. Tow. wyd. Rój, Warszawa, 1933, str. 370.

Sinclair Upton jest pisarzem w całem tego słowa znaczeniu społecznym, ale tendencja zupełnie widoczna w jego powieściach nie jest nigdy przejaskrawiona, tak, aby szkodziła kompozycji artystycznej, nie sprowadza go również na niepewne ścieżki sentymentalnego współczucia ani też moralizatorskich komunałów. Wszystkie jego powieści rozgrywające się na gruncie amerykańskim są ostrą krytyką współczesnego amerykanizmu. W najnowszym jednak utworze od zadań wyłącznie społecznych, rozwijających się na gruncie pewnych koncepcyj klasowych, przechodzi Sinclair do ilustracji „Zawrotnej karjery Amerykanina", który stanowi specyficzny typ, niepodporządkowany, jeżeli idzie o tę przynależność klasową, żadnym sferom społecznym. Z pastucha dostaje się do szkół, marzy o zrobieniu majątku, wstępuje na uniwersytet, ale go nie kończy, bo tymczasem wzbogaca się na spekulacjach gruntami naftowemi i wreszcie staje się miljonerem. To jest szkielet powieści, ale nie jej treść, którą wypełnia mnóstwo scen, odzwierciadlających typowy „business" amerykański, a przenoszących czytelnika w najrozmaitsze stosunki. Na ogólnem tle występują jaskrawo postawione typy, rzadko tylko zgrubsza wyciosane, a najczęściej wykończone zupełnie drobiazgowo.

Wszystkie jednak posiadają niewątpliwie cechy rzeczywistości. Sinclair opowiada o życiu przeważnie obrazami realistycznemi, nie ma w nich miejsca na mdłe sceny, zahaczające o czułostkowy erotyzm, jeżeli zaś takie znajdą się to z pewnością dysharmonizują z całą strukturą powieści, jak np. ów romans przyszłego miljonera ze sztucznie naiwną dziewczyną. Tendencja w tej powieści przesuwa się poza nawias treści, nie narzuca się czytelnikowi sama przez się, nie wybija poprzez wszelkie zasłony fabuły. Szło tu bowiem raczej o jaskrawy obraz zawrotnej karjery Amerykanina, wskutek czego nad treścią nie wisiała kwestja społeczna. Bohater powieści jest przedewszystkiem człowiekiem pieniądza, a nie jakichkolwiek marzeń socjalnych, jest sam dla siebie. Ale i tacy ludzie stanowią pewnego rodzaju zagadnienie społeczne.

Książka Gazdy

Borowy Piotr. Sąd grzesznika sam nad sobą. Z drzeworytami St. Jakubowskiego. Nakład ks. F. Machaya, Kraków, 1933, str. 31.

Gazda Piotr Borowy z Rabczyc na Orawie, zmarły w zeszłym roku, w 74 roku życia, był wiejskim samoukiem, pisać zaczął w późnej starości, zostawił szereg utworów w rękopisie. Czytał dużo, posiadał piękną bibljotekę, odznaczał się głęboką kulturą umysłu i ducha. Pisać jednak nie lubiał, wolał przemawiać. Dopiero w 70 roku życia, gdy astma nie pozwalała mu na przemówienia, za namową ks. Machaya wziął się do pióra. W ten sposób powstał i **Sąd grzesznika,** chłopska „Księga ubogich". Borowy pisał prozą, ale z każdego wiersza jego utworu przemawia poezja, niezamącona żadnemi wpływami literackiemi, płynąca z głębi serca. Był to jednak nietylko poeta z Bożej łaski, ale również urodzony filozof. Wprost zdumiewa głębią wejrzenia w życie, i doskonałą umiejętnością wczucia się w istotną treść człowieczej duszy. Nie jest to filozofja wyuczona, nie pochodzi z tej czy innej książki, ale z przeżycia, skrystalizowanego we wspaniałych myślach, ubranych w formę prawdziwie artystyczną. Ta filozoficzna poezja niema nic z szablonowości oficjalnych poetów, uchyla się z pod wszelkiej przesady i tkliwej nastrojowości, jest wspaniałą w swej prostocie i głębi szczerego natchnienia.

Podnieść należy bardzo staranną, pieczołowicie opracowaną formę wydawniczą, przygotowaną przez St. Jakubowskiego, który książkę ozdobił licznemi drzeworytami.

A. BAR.

Wykłady o Conradzie-Korzeniowskim na Uniwersytecie Warszawskim

W bieżącym roku akademickim prof. Józef Ujejski rozpoczął na Uniwersytecie oficjalne wykłady o Conradzie. Jest to wydarzenie o podwójnej doniosłości. Po pierwsze, jako realizacja oczekiwań na uwzględnienie literatury współczesnej w wyższych uczelniach. Drugim i bardziej znamiennym momentem jest fakt, że głos o Conradzie pada właśnie z pierwszej katedry historji literatury polskiej! (Ciekawe co powiedzą na to Anglicy...).

Punktem wyjścia wykładów prof. Ujejskiego było właśnie wyjaśnienie tego faktu. Mówi się stale Conrad, Conrad... Na zbiorowem wydaniu przekładów pisarza widnieje nawet „Joseph Conrad". Dlaczego nie Józef Conrad-Korzeniowski? — Przecież Conrad nigdy nie zmienił swego nazwiska! W tem odżegnaniu się od autora „Lorda Jima" ważną rolę odegrał Żeromski swoją surową wobec niego postawą, jakiej dał wyraz w przedmowie do wspomnianego wydania po polsku dzieł pisarza. Nazywa go tam Josephem Conradem i z dwuznaczną skromnością przemawia przeciw akaparowaniu go na rzecz literatury polskiej, z którą dorobek artystyczny Conrada nic jest rzekomo „ani jednem włóknem złączony". Niewątpliwie Żeromski, głęboko urażony w swym narodowem patrjotyzmie, pragnął w ten sposób świadomie dokuczyć wielkiemu Polakowi, który pisał po angielsku.

Mówiąc o powyższem, poruszył także profesor Ujejski aktualne zagadnienie co i w jakiej mierze stanowi o przynależności autora do danej literatury, czy jego narodowość, czy język, w którym tworzy...

Właściwym punktem wyjścia prelegenta stał się „Lord Jim" i geneza tej powieści w świetle ostrego i małodusznego ataku Orzeszkowej. Jak wiadomo Conrad od owej chwili nie znosił tej pisarki i niejako w odpowiedzi napisał najbardziej wstrząsającą ze swych książek, która stała się zagadką dla krytyki światowej.

Wykłady prof. Ujejskiego cieszą się wielkiem powodzeniem.

Pozorny przeskok znakomitego polonisty od głębokich badań nad wiecznemi problematami polskiego romantyzmu i mesjanizmu do twórczości Conrada wydaje się faktem nietylko zrozumiałym ale i konsekwentnym. I jeśli temat prelekcji wymaga od krytyka najwyższego napięcia sił i poprostu zmierzenia się z genjuszem i osobowością pisarza, to niewątpliwie prof. Ujejski zarówno zasięgiem i współczesnością swoich zainteresowań jak i zdolnością głębokiego spojrzenia w cudzą psychikę, wydaje się być predystynowanym do rzucenia nowego światła na to najbardziej niepokojące w literaturze świata zjawisko, któremu na imię: Józef Conrad-Korzeniowski.

t.

CHŁOPY PANA PIASECKIEGO

W dodatku literacko-artystycznym ABC z dn. 7 stycznia b. r. sam Pan Piasecki wydrukował obszerny artykuł p. t. „Chłopy idą"... gdzie wykazuje czarno na białem, że urbanizacja nowoczesna stworzyła poważne niebezpieczeństwo dla kultury narodowej. Inteligencja zmuszona warunkami ekonomicznemi stała się elementem cygańskim, koczowniczym, który degenerując się w takich warunkach nie może stworzyć nowej kultury narodowej. Kultura, powiada pan Piasecki, aby się rozwinąć i utrwalić musi być tworzona przez ludzi osiadłych. Nieodzownym warunkiem przy tworzeniu się cywilizacji jest osiadłość. Przykładem degeneracji cygańskiej inteligencji jest Céline a ziemią obiecaną, skarbnicą i fundamentem nowej cywilizacji jest dzisiaj chłop, on tworzy i stworzy nową kulturę bo jest osiadły. Ale nikt się nowemi chłopskiemi siłami nie interesuje: „głucho o nich narazie w naszym światku literackim, zajętym Akademjami i nagrodami. Chłopy idą? A gdzie to? Nic jakoś nie słychać"... Nikt nic nie słyszy, ale pan Piasecki słyszy jak trawa rośnie: „Ja tam słyszę ten miarowy rytm chłopskich kroków, który niedługo już zadudni, musi zadudnić potężnie poprzez polską literaturę. Widzę nawet forpoczty". Do tych forpoczt liczy się p. Młodożeniec, Wincenty Burchter z Sandomierskiego. Wszystko to talenty samorodne, które pod bokiem na złość sanacji utworzą nową sztukę polską i będzie musiał Staff czy Tuwim, przed tą nową poezją, ukrywać się po kątach, bo im będzie wstyd, że tak marnie, tak niepopolsku piszą. Tu się urządza Akademję a nikt nie wie „ile zaś tam po chłopskich skrzyniach kryje się rękopisów niedrukowanych, które nie znalazły sobie dotąd drogi do redakcyj i wydawców!". Z tych skrzyń jedynie pan Piasecki dobywa skarby czysto polskie, szczerze chłopskie, które nową poezję zwiastują. W tym samym dodatku prezentuje nam pan Piasecki świeżo „prosto od krowy" odkrytego trzeciego autora chłopskiego Jana Brzuzę z Nowego Sącza. Mimo wzorów i wpływów staropolskiej literatury, więc Szymonowicza i Krasickiego i „choć bezpośredniość chłopska zarówno językowa jak obrazowa jest jakby (i niepotrzebnie) zahamowana przez tamte wzory literackie — to jednak czuje się tu w każdej zwrotce świeżość opisu i świeżość obrazu. O orce pisze nie jej obserwator, ale ten, co musiał chodzić za pługiem, o sianokosach ten, co trzymał kosę w garści"... i t. d. Nie wyciągnął pan Piasecki ze skrzyni malowanej wierszy Jana Brzuzy, drukowanych w tymże dodatku, lecz przysłał je sam autor z listem, który w artykule jest w całości przytoczony. Każdy Polak powinien się cieszyć bez względu na przekonanie polityczne, bo oto nasz kmiotek tak do redaktora pisze: „Z uczuciem radości przeczytałem w dodatku literacko-artystycznym „ABC" artykuł pana p. t. „Poezja marki „Staff". Przecież nareszcie zasłużona ocena spotkała wierszyczki, rozmnożone nagminnie i wniosła zdrowy powiew w te zaczadzenia staffizmem i majaczenia liryczne!". Tak oto pisze ten, co musiał „chodzić za pługiem", „ten, co trzymał kosę w garści". Tak pisze nasz lud...

I wszystko to byłoby ładne i nowa kultura, którą tworzy osiadłość przyszłaby... gdyby nie to, że świeżo odkryty Jan Brzuza niedawno „osiadł" w Nowym Sączu „na roli", przedtem był naczelnikiem wydziału w Ministerstwie Skarbu i nie przypominam sobie (znam go kilkanaście lat) aby kiedykolwiek trzymał kosę w garści, nie było czego na Rymarskiej kosić ani orać, chyba trawnik przed arkadami... Może teraz schłopiał dobrowolnie, bo z musu dla czarnego chleba tego nie robi, emerytura bowiem wysokiego urzędnika jest wcale niezła. I jeszcze muszę pana Piaseckiego zasmucić: pan naczelnik Brzuza nie jest dziewicą w poezji, odkrył się już sam kilka lat temu, będąc jeszcze w Ministerstwie wydał zbiorek wierszyków p. n. „W krzywem zwierciadle" pod pseudonimem Wł. Brzujan. (Skład główny, Dom Książki Polskiej). Warto przejrzeć — może się coś w ABC przedrukuje...

Idą chłopy aż dudni!

Tadeusz Makarewicz

MICKIEWICZ — POETĄ ROSYJSKIM!...

W szeregu tanich wydawnictw popularnych, lansowanych obecnie przez wydawnictwo Phaidon Verlag w Wiedniu, ukazała się niedawno antologja liryki światowej, p. t. „Najpiękniejsze wiersze świata" w wyborze i układzie Ludwika Goldscheidera.

To piękne wydawnictwo, mające służyć uprzystępnieniu poezji wszystkich czasów i narodów szerokim rzeszom, czytającym po niemiecku, jest przykładem wzorowego stosunku do zamierzeń, z jednym jedynym wyjątkiem, dotyczącym niestety literatury polskiej.

Jedyny bowiem poeta polski w antologji, Adam Mickiewicz, który reprezentowany jest przez dwa przekłady sonetów: „Stepy akermańskie" i „Ałuszta w dzień", (przełożył A. E. Rutra) znajduje się w dziale... Rosja, obok Lermontowa.

Ten bezprzykładny dowód ignorancji niemieckiego wydawcy, który nie raczył przeczytać książki, z jakiej wyjęte zostały obydwa przekłady, t. j. Mickiewicza, Poetische Werke, Verlag Müller, Monachjum 1919, jest wydatnem obniżeniem wartości antologji dla czytelnika polskiego. Nie naprawi zaś tego błędu fakt umieszczenia przekładu z innego poety polskiego.

Drugim poetą, tym razem łacińskim, jest Sarbiewski. Przekład opatrzony jest uwagą o „polskim Horacym".

Mickiewicz — poeta rosyjski — ten błąd winien być naprawiony przez wydawcę już w najbliższem wydaniu książki, która dzięki wielu zaletom i przystępnej cenie znajdzie zapewne w Polsce wielu czytelników.

NA SCENACH STOLICY

„Czwarty do brydża" — komedja w 3-ch aktach Adama Grzymały-Siedleckiego na scenie Teatru Nowego. Reżyserował K. Borowski. Dekoracje S. Jarockiego. (Dn. 3.I. 1934 r.)

Recenzent teatralny pisma tygodniowego jest zawsze prowokowany przez prasę codzienną do prowadzenia z nią sporów: choćby nie czytał wszystkich krytyk, przecież nazbiera mu się zawsze materjalu do dyskusji, której uniknąć niepodobna. Jestem w położeniu tembardziej kłopotliwem, ponieważ byłem na nowej sztuce p. Grzymały-Siedleckiego już po przeczytaniu kilku o niej recenzyj: takiego widza uderzyć musi przedewszystkiem zwekslowanie zagadnienia utworu na obce mu zupełnie tory. Cytowało się mianowicie, jakoby treścią sztuki był konflikt pomiędzy dwojgiem młodych, zakochanych w sobie, lecz rozdzielonych świadomością, iż matka narzeczonego i ojciec narzeczonej połączeni byli ongiś silnem uczuciem, które złamało szczęście dwuch małżeństw i które kazało jej matce umrzeć w samotności, a jego ojcu poszukiwać za morzem nowego życia. Jednem słowem, że romans rodziców z przed dwudziestu lat stanął wpoprzek szczęściu młodych. I że wprawdzie miłość wkońcu zwycięża, jednakże sam zatarg jest w świetle naszych pojęć dzisiejszych czemś nieistotnem i wątłem.

Uzbrojony w taki komentarz widz teatralny nie może doczekać się samego konfliktu. Okazuje się, że wybucha on dopiero w połowie ostatniego aktu i że młodzi przezwyciężają go już w kilka godzin — nie jest to więc chyba konflikt dojmujący, skoro tak łatwo dał się zlikwidować. Trudno zaś stosować tu jakiekolwiek przedawnienia o charakterze historyczno-obyczajowem, nikt bowiem, niezależnie od poglądów, nie może oczekiwać, aby dwoje młodych narzeczonych, dowiedziawszy się nagle o niezwykle skomplikowanym i dość sztucznie przez autora zmontowanym zbiegu okoliczności, nie zostało niem zaskoczonych, przejętych, że ot, poprostu, mogliby wiadomość tę potraktować jako pierwszy lepszy temat do rozmowy między jednym a drugim robrem przy stoliku brydżowym.

Utwór p. Grzymały-Siedleckiego wogóle zagadnienia obyczajowego nie porusza i jest typową sztuką psychologiczną, w której skomplikowana akcja demaskowania faktów wytwarza szczególną progresję przeżyć — i cała jej wartość artystyczna polega właśnie na niewątpliwej precyzji udramatyzowania samego zdarzenia, rozwijającego się logicznie i interesująco. Reszta należy do dramatyzowania psychologji, i tu autor odnosi już zwycięstwa niecałkowite: tworzy bądź tak jednolite postaci jak para młodych, lub tak rozbite na części jak stary Denhell, bądź wreszcie tak jałowe, jak benjaminek krytyki tej sztuki — pan Cyprjan. Natomiast właśnie tam, gdzie autor chce coś powiedzieć głębszego jako uogólnienie dziejących się na scenie psychologicznych zdarzeń, tam nawet imię Boga wypowiadane jest nadaremno.

Atmosfera „Czwartego od brydża", atmosfera nieustannych zwierzeń i wspomnień jest nieco monotonna — i to jest słabą stroną tego utworu. Jeżeli jednak porówna się go z poprzedniemi, a zwłaszcza ostatniemi farsami autora „Maman do wzięcia", trudno nie przyznać, że mamy tu do czynienia z rodzajem o wiele szlachetniejszym, z utworem udanym jako technika i kompozycja, z aspiracjami nie przesadnemi, ale ambitnemi. To wszystko oczywiście musi kosztować — ale to się w rezultacie zawsze opłaca.

P. Borowski wyreżyserował „Czwartego do brydża" bardzo starannie, choć w kameralności już nieco przesadnie — prawie cała sztuka mówiona jest na szepcie — jeśli nie na szepcie fizycznym, to psychologicznym. Natomiast, znów w przeciwieństwie do większości krytyków, należy wziąć w obronę p. Różyckiego jako wykonawcę roli głównej. Artysta ten z największym trudem przechodzi do rodzaju ról charakterystycznych, tym razem jednak bardzo kunsztownie połączył groteskowość postaci z tem, co czyni ją ludzką i godną współczucia.

Z pozostałych wykonawców — wszystkich bardzo dobrych, na szczególne wyróżnienie zasługuje p. Jezierska. Jest to niewątpliwie jedna z najzdolniejszych artystek młodego pokolenia: bowiem wdzięk niezwykły nie wyczerpuje jej możliwości; kryją się one w jej głębokiej uczuciowości i talencie wydobywania emocjonalności środkami niezwykle prostemi i przekonywającemi.

W. Z.

LISTY Z LAT GDY PIŁSUDSKI DZIAŁAŁ W TOKIO

Małżonka ks. Radziwiłła (z domu Castellane), adjutanta i przyjaciela Wilhelma I, pozostawiła obszerną korespondencję prowadzoną dość regularnie z gen. Robillant, dyplomatą i dowódcą jednej z armji włoskich podczas Wielkiej Wojny. W listach tych z lat 1889 — 1914 przewija się wiele cennych obserwacyj i spostrzeżeń o środowiskach arystokratycznych ówczesnych, z wdzięcznej pod tym względem placówki, jaką był jeden z najświetniejszych salonów berlińskich — dom tych Radziwiłłów w stolicy Rzeszy Niemieckiej.

Ogłoszona obecnie serja listów ks. Castellane-Radziwiłłowej w „La Revue de Paris" p. t. „Lettres sur la guerre russo-japonaise", datowana jest nietylko z Berlina, lecz i z Łańcuta, z Nieświeża... Jakaś rozmowa z plenipotentem dóbr księcia-małżonka w Kongresówce, p. Świdą, otwiera oczy księżnej na fakt, że w wyniku porażki Rosji „wielu Polaków już widzi Polskę odbudowaną od Bałtyku do Karpat". Nic nie świadczy lepiej o lekkomyślności tego narodu, orzeka przytem księżna-pani.

Korespondencja ta powinna zainteresować bliżej historyków polskich czasów nowożytnych. **(K. Ziel.)**

NOTATKI

OCCIDENTE

Pod redakcją młodego utalentowanego pisarza Armanda Ghelardini'ego od półtora roku pod powyższym tytułem wychodzi poważny kwartalnik literacki w Rzymie. Kwartalnik ten, objętości 10—12 arkuszy druku postawił sobie za zadanie zgrupowania w swoich szeregach elity literackiej i filozoficznej o pokroju zachodnio-europejskim. Na szpaltach tego wydawnictwa dotychczas przewinęły się między innemi następujące nazwiska: Pirandello, Pryestley, Bontempelli, Philipson, Werfel, Huxley i wielu innych. Na specjalną uwagę zasługuje wzorowo prowadzony dział światowych wydarzeń literackich — kulturalnych. Dział ten nie ogranicza się do suchej kronikarskiej notatki, ale analizuje i charakteryzuje poważniejsze wydarzenia z tych dziedzin. Wśród stałych rubryk tego działu widzimy: francuską, angielską, niemiecką, skandynawską, nie ma zaś rubryki polskiej. Brak ten redakcja tłumaczy trudnościami natury technicznej i obiecuje go usunąć w najbliższej przyszłości. **(mk.)**

NAWROT DO ODPOWIEDZIALNOŚCI

Literatura ostatniego okresu szczyciła się wielu dziełami, których postawa wobec życia pozbawiona była kryterjów moralnych. Przeobrażenia społeczne, zachodzące w życiu wielu narodów, łącznie z poszukiwaniem nowych form bytu, wysuwają sprawę odpowiedzialności moralnej jednostki za czyny dokonane. Wzmocnienie spoideł łączących ludzi, podkreśla zarazem ich wzajemną odpowiedzialność. Nowa literatura włoska, wyrastająca z podglebia faszystowskiego, ulega tym wpływom.

Na czoło młodego pokolenia literackiego, młodego nietyle wiekiem, ile ilością i datą tomów wydanych, wysuwa się redaktor poważnego dziennika „Tribuna" Arnoldo Frateili. Pisarz ten otrzymał najwyższą nagrodę literacką Włoch „Pri Viaregio" za książkę pod tytułem „Capogiro". W książce tej, jak i w książce „Siroco" przy zachowaniu najwspółcześniejszych środków ekspresji, oraz bardzo odważnego obrazowania, podkreśla sprawę odpowiedzialności moralnej mężczyzny za stosunek seksualny z kobietą. Bezbroskość, która maskowała te zagadnienia autor prześwietla bystrem spojrzeniem, wskazując na właściwe jej źródło, którem jest unikanie odpowiedzialności. Książki Frateilego znalazły szerokie echo w literaturze niemieckiej i francuskiej i zostały przetłumaczone na obydwa powyższe języki. Autor tych powieści w najbliższej przyszłości z synem swym, znanym malarzem, wybiera się na zaproszenie naszej ambasady do Polski. **(mk.)**

SUKCESY HEKTORA SETTANI

Współpracownik „Popolo d'Italia" Ettore Settanni, który przez dłuższy przeciąg czasu w charakterze korespondenta tego pisma przebywał w Warszawie, odniósł obecnie poważny sukces literacki. Książka jego p. t. „Kto jest zabójcą Gianni Randone" wywołała prawdziwą burzę w prasie włoskiej. Burza ta odbiła się głośnem echem w opinji francuskiej i znani krytycy Benjamin Cremieux i Valery Larbaud zainteresowali się bardzo twórczością tego autora. Konsekwencją tych zainteresowań jest ukazanie się książki Settanni'ego w języku francuskim z przedmową Larbaud. W przedmowie tej pomiędzy innemi mówi wybitny esseista francuski, „literatura włoska od chwili wystąpienia Ettore Settanni'ego nabiera zupełnie nowej barwy i staje w szeregu literatur, szukających nowych dróg na polu piśmiennictwa". W dalszym ciągu tej przedmowy autor podkreśla walory książki, mówiąc, iż dzięki żywości swojej, bystrości i wnikliwości oraz metodzie nowatorskiej jest ona nie mniejszem a większem wydarzeniem literackiem niżeli powieść Joyce'a. Ten sukces tym chętniej notujemy, że Settanni jest jednym z niejlicznych pisarzy włoskich, który zamieszcza stale artykuły na tematy literackie polskie i który zna nasz kraj oraz język. Settanni w tomie studjów, wydanym w roku ubiegłym, a poświęconym literackim sławom światowym, omawia twórczość Prusa i Żeromskiego. **(mk.)**

INTERNACJONALIZM I UNIWERSALIZM

W nr. 578 „Nouvelles Litteraires" Mario Meunier porusza kwestje uniwersalizmu. Pokpiwając lekko z tych apostołów uniwersalizmu, którzy go propagują, jako nainowszy prąd ideowy, wskazuje na jego źródła, wywodzące się z światopoglądów greckiego i rzymskiego. Autor artykułu przeciwstawia uniwersalizm — internacjonalizmowi. Dowodzi, że ten ostatni, wprowadzając w życie idee abstrakcyjnej równości, narzucając bezimienną tyranję jednostajności, jest negacją różnorodności form życia. Tymczasem uniwersalizm dąży do harmonijnego układu różnorodnych i różnoimiennych sił życia, pozwalając im swobodnie się rozwijać w zależności jednak od wszechobejmującej całości, do której należą. — Właśnie uniwersalizm, według autora, wytycza ewolucyjne normy rozwoju świata, ogółu i indywiduum. W zakończeniu pada pytanie: „Czy rozpaczliwa gwałtowność niektórych nacjonalizmów nowoczesnych nie jest dowodem, że rasy ludzkie mają dość ucisku idej powszechnej niwelacji i jednostajności bezradosnej, jakie narzuca tyranja internacjonalizmu?" **(wa.)**

NIEZNANA KORESPONDENCJA APOLLINAIRE'A

„Nouvelles Litteraires" drukują nieznaną korespondencję Guillaume Apollineaire'a z jego wojenną „chrzestną matką". Początek tej korespondencji przedstawia się następująco. Zmobilizowany w r. 1915 Apollinaire przebywał w kadrze jednego z pułków artylerji w Nimes. Ogólnie znany i lubiany, jako kanonier Kostrowitzky, żegnał każdego ze swych odchodzących na front kolegów krótkim wierszykiem. Kiedy nadeszła kolej na poetę, jeden z jego kolegów, młody profesor Emil G. Leonard postanowił go też pożegnać wierszem. Nie czując się na siłach, uciekł się do pomocy młodej poetki, piszącej pod pseudonimem Ives Blanc i ta wybawiła go z kłopotu, układając pożegnalny czterowiersz dla Apollinaire. Ten odpowiedział też wierszem i w ten sposób została nawiązana nić korespondencji, przerwana dopiero w r. 1918 przez śmierć poety. **(wa.)**

NOWA KSIĄŻKA TOLLERA

Ernest Toller wydaje w Querido-Verlag w Amsterdamie książkę p. t. „Eine Jugend in Deutschland". Jeden z rozdziałów jest rzutem oka na rok 1933. Autor dochodzi do wniosku, że wypadki, które miały miejsce w Niemczech w latach 1918 i 1919 niczego Niemców nie nauczyły: rewolucjoniści, republikanie, biurokraci, doktrynerzy, politycy, pisarze, fetyszyści ekonomji — ci wszyscy, którzy tyle obiecywali — po 15 latach, jak się okazało, nie nauczyli się niczego.

„Naród spodziewa się ratunku — pisze Toller — u fałszywych zbawicieli, nie u siebie, u własnego instynktu, własnej pracy, własnego poczucia odpowiedzialności".

Toller potępia obłąkańczą wiarę, która każe spodziewać się nadejścia jakiegoś człowieka, Cezara, czy Mesjasza, który weźmie na siebie całą odpowiedzialność za to, co przyjdzie: wytyka narodom Europy wieczne dążenie do znalezienia winnego, któremu każą ponosić odpowiedzialność za to, co było. „Jest to — pisze Toller — owo odwieczne biblijne jagnię, tylko że dziś, zamiast zwierzęcia, ofiarą tą stał się człowiek".

Autor z niezwykłą mocą wyrazu oskarża nietylko Niemcy, ale całą Europę, która „jak drobny makler giełdowy czeka na coraz to nowe korzyści i zarobki nieprzeczuwając trzęsienia ziemi", oskarża narody o milczenie w chwili, gdy tysiączni spekulanci granatów, bomb, gazów trujących i bakteryj dżumy przygotowują samobójstwo Europy.

Koniec rozdziału jest inwokacją do towarzyszów-niemców. Wierzy, że tymi, którzy przerwą milczenie, co zaległo Niemcy, będą właśnie oni; jego towarzysze idei, choć dziś ich w Niemczech dostrzec nie mógł. **(it.)**

PROCESY LITERACKIE

W grudniu 1933 r. odbył się charakterystyczny proces literacki. Przed trybunałem cywilnym okręgu Sekwany stanęła p. Jeanne Nabert, autorka powieści „Le cavalier de la mer", oskarżona przez szereg mieszkańców Pont-Croix, małej mieściny bretońskiej, o umieszczenie ich żywcem w swem dziele. Jak wynika z przewodu sądowego autorka stosunkowo najmniej oszczędzała swych nieżyjących rodziców. Skazana została na 3000 fr. odszkodowania i usunięcie niektórych ustępów, dotyczących obrażonych osobistości prowincjonalnych.

W związku z innym podobnym procesem, wytoczonym przez kilka osób noszących jedno i to samo nazwisko belgijskiemu pisarzowi p. Pierre Hubermont, George Duchamel w nr. 582 „Nouvelles Litteraire" zabiera głos w sprawie uprawnień pisarza do korzystania w swej pracy z modeli, wziętych z otoczenia. Wielki pisarz francuski broni uprawnień pisarza twierdząc nie bez słuszności, że bez oparcia się o obserwacje z natury, bez mięsa i krwi rzeczywistych postaci, nie mogłaby powstać ani rozrastać się wielka literatura. Duhamel twierdzi całkiem słusznie, że najczęściej objekt, nawet skopiowany, nie poznaje się w powieści. Zresztą zwykle podlega w psychice twórcy takim zmianom i wpływom, że powstaje zeń osobistość zupełnie różna od wzoru. Przytem „prawdziwy powieściopisarz ma dla swej postaci nie jeden, ale dwadzieścia, ale sto wzorów". „Wyobraźnia, wynalazczość — mówi Duhamel — nigdy nie przynosiły szkody naszym mistrzom, ale najlepsze ich dzieła, to zdjęcia z ich pełnego życia własnego lub cudzego". Autor popiera swe wywody przykładami Flauberta, Zoli i innych wielkich pisarzy. Wzywa sędziów do rozwagi i umiarkowania w podobnych procesach. „Gdyby wszyscy ludzie, — powiada którym się zdaje że odnaleźli cząstkę własnej natury w Salavin'ie, oskarżyli mnie przed trybunałem, musiałbym umrzeć w więzieniu". **(wa.)**

O NOWELI

W krajach anglosaskich i we Francji nowele cieszą się powodzeniem wśród publiczności. Mowy niema o jakiemś traktowaniu nowel, jako drugiego, podrzędnego rodzaju beletrystyki, jeśli idzie o pokup.

U nas pod tym względem panują zupełnie anormalne stosunki. Wydawcy nie chcą nowel, twierdząc, że sprzedaż ich idzie bardzo słabo, chyba że chodzi o autorów, którzy właśnie mają w tym zakresie swoich odbiorców, jak Choynowski, Makuszyński, Nowakowski.

Ale nawet dobrzy pisarze, „autorzy z nazwiskiem", napotykają w swej pracy twórczej na szkopuł natury materjalnej: nowele nie idą. Taka jest panująca... moda, duch czasu.

A przecież zdawałoby się, że nowela jest typem utworu, dopasowanego do gustów współczesności, że powinna odpowiadać amatorom magazynów nowelistycznych, feljetonów i zwięzłych szkiców; że wogóle odpowiada rytmowi życia współczesnego.

Ostatnio odbył się w Moskwie wieczór literacki, poświęcony najnowszej twórczości nowelistycznej Rosji. Według opinji „Wieczernaja Moskwa" obecna produkcja nowelistyczna ustępuje przedwojennej. Lepsze już wyniki osiągnięto w formie powieściowej.

Przecież nie brak w Rosji i dzisiaj wybitnych przedstawicieli prozy nowelistycznej. Tu przedewszystkiem wymienić należy Izaaka E. Babela, oraz Jerzego K. Oleszę, Werę Inber, Michała Zoszczenkę, Włodzimierza Lidina, Lidję Sejfulinę, K. A. Bolszakowa i Rykaczewa. **(J. J.)**

W nrze niniejszym zamieszczamy 1-ą „Kolumnę Architektury", druga zawierająca artykuły **St. Brukalskiego i K. Proszyńskiego,** ukaże się w numerze 4-tym lub 5-tym **„Pionu".** W redagowaniu „Kolumny Architektury", którą wprowadzamy jako dodatek stały biorą udział: **Stanisław i Barbara Brukalscy, Jan Chmielewski, Stanisław Filipkowski, Helena Kurkiewicz, Jerzy Makowiecki, Roman Piotrowski, Kazimierz Proszyński, Jerzy Sosnkowski, Józef Szanajca i Antoni Wieczorkiewicz.**

Nr. 4 „Pionu" zawierać będzie m. in. „Pierwsze pokłosie dyskusji o „Ogniem i Mieczem" O. Górki i „Rzeczywistość historyczna w krzywem zwierciadle" Wł. Tomkiewicza.

czas. 12492/2/3 60

NA EKRANACH

W TWOICH RAMIONACH
(Kino Europa)

Jest bardzo przyjemnie popatrzeć w kinie na ludzi, którzy należą do rodzaju hochsztaplerów i najuczciwszy człowiek —urzędnik, kupiec czy lekarz—z zapartym oddechem będzie śledzić przygody kombinatorów oraz t. zw. w życiu codziennem mętów. Wyciąganie z cudzej kieszeni portmonetki, oszukanie na towarze, bezwzględność materjalna cieszy nas tak samo jak małe dzieci wsadzenie szpilki w krzesło nauczyciela albo tłuczenie szyb w oknach sąsiadów. „W twoich ramionach" przedstawia pewną parę, która wywalcza sobie, że tak powiemy „postawę moralną". Przychodzi im to z trudnością, ale od czegóż jest miłość, która tylekroć ratowała autorów scenarjuszy i reżyserów w trudnych sytuacjach. Film amerykański lubuje się w więziennictwie, tak jak nasz w dworku polskim i dancingu. Każdy bohater musi być przewleczony przez te „objekty", aby dojść do „czegoś", t. zn. do śmierci albo do małżeństwa. Należy nadmienić, że więzienia amerykańskie są bardziej efektowne niż rodzime dancingi na filmie; doprawdy nasi reżyserowie nawet nie zasługują na to, aby się w tamtych znaleźć chociażby na parę lat. „W twoich ramionach" np. jest filmem przeciętnym ale jakże przyzwoicie skomponowanym. Tempo pierwszej połowy doskonałe, gra aktorów Harlow i Gable bez zarzutu, montaż obrazu i scenariusz logiczne—czegóż chcecie więcej. Żadnych poronień, koszałek z dziećmi, gwałcenia, widoków z Poronina i Kut, Huculów z gębami znanemi z Małej Ziemiańskiej i Italji, dreszczów i złowieszczów (od złowieszcz). Doprawdy, że mimo wielu zastrzeżeń spoczywam, o filmie amerykański, „W twoich ramionach", chociaż zastrzegam, że nie wiem czy na długo. Narazie tak. „W twoich ramionach"!

PROKURATOR ALICJA HORN
(Kino Apollo)

Pan Dołęga Mostowicz wprowadził kobiety do prokuratury, ale nie jako prawodawca tylko jako powieściopisarz. Z tego wynikł film, o którym lepiejby nie mówić niżej. Sprawa jednak jest poważna. Chodzi mianowicie o to, czy kobieta mimo tego, że jest kobietą, potrafi stanąć na wysokości zadania jako rzecznik sprawiedliwości. Prokurator Alicja Horn jakoś wybrnęła z trudnej sytuacji, co przyszło jej tem łatwiej, iż ukochany ją odepchnął we właściwym momencie. Pozatem jako kobieta była parę razy zgwałcona przez Winklera (kapitana), raz nawet już w czasie pełnienia ciężkich obowiązków prokuratorskich. Ów Winkler był właściwie dyrektorem dancingu w rodzaju „Adria", ale zupełnie nie przypominał p. Moszkowicza, chyba po odmłodzeniu. Stał na usługach d-ra Brunickiego, pozatem znakomitego uczonego, którego specjalnością było świadome macierzyństwo, gwałcenie kobiet oraz reklama swej osoby. Z dekoracji wynikało, że zakład jego był przy ulicy Leszno. Wszystkie węzły intrygi splatały się w owym dancingu, gdzie prokurator Alicja Horn szalała nocami. Trwało to dopóty, dopóki nie wkroczyła policja. Wtedy dopiero przestała doń uczęszczać Alicja wraz z przyszytemi do sukni rajerami oraz podejrzanymi frajerami.

Jak wynika z tej krótkiej i rzeczowej relacji film jest rodzimej produkcji, zrealizowany wcale dołężnie. Jednak pewien postęp jest w ujmowaniu zagadnień, jeśli porównamy dzieje bohaterek z ulicy Chmielnej, z Atlantic'u. Bowiem w Apollo na Marszałkowskiej, choć taki tylko kawałek drogi dzieli te dwa kina, dzieje się o wiele lepiej. Żadnych dzieci, żadnych następstw. Która z kobiet życzy sobie, zachodzi do d-ra Brunickiego albo z nim. Co się tyczy tematów, to film polski, jak to widać w porównaniu z „Wyrokiem życia", jest może trochę jednostajny, ale bardzo pouczający. Sąd, więzienie, dancing, gwałciciele kobiet, macherzy, hochsztaplerzy, sutenerzy, akuszerzy, a jako tło Kraków lub Ojców (coś za dużo tych ojców — niewiadomo gdzie i kiedy może ich spotkać biedna dziewczyna lub kochająca kobieta). Kiedy jednak słyszeliśmy Alicję Horn oskarżającą, to doprawdy sąd przypominał trochę scenę małżeńską. Ale wszystkiemu zapobiegł dzielny ginekolog dr. Brunicki, który oczywiście fałszywie zeznał. Tu się nasuwa uwaga, że jeśli w filmie amerykańskim pokażą kanalię, to przeciwstawią mu osobistość dodatnią. W naszym filmie każdy człowiek to miernota albo ciemny typ. Obawiamy się o aktorów, jak tak dalej pójdzie może to mieć brzemienne w skutki następstwa: przestaną być poprostu uczciwymi ludźmi. Np. taki Samborski: albo policmajster albo niedozwolone praktyki uprawiający lekarz. Z drugiej strony cóż za skala w doborze kreacji! P. Smosarska była piękna, ciepła i surowa. Kobieta-team, jednem słowem!

POLONICA

„Art Alliance" w Filadelfji stworzyła wystawę grafiki polskiej, na którą złożyły się prace — Pankiewicza, Weissa, Wyczółkowskiego, Mehoffera, Skoczylasa, Bartłomiejczyka, Chrostowskiego i Konarskiej. Prasa tamtejsza przyjęła wystawę bardzo życzliwie.

Nieustająca aktywność Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym-Yorku przyniosła Polonji amerykańskiej na gwiazdkę nowy tom. Jest to książka o Paderewskim prof. Charles Phi-lips'a.

W Neuilly, jednem z najpiękniejszych obecnie przedmieść Paryża, wzniesiony ma być w niedługim czasie na cmentarzu, na którym spoczywa Hoene-Wroński, pomnik na grobie wielkiego uczonego i filologa polskiego. Komitet budowy pomnika, na którego czele stanął prof. Baldensperger, powierzył wykonanie popiersia art. rzeźbiarzowi Black'owi.

Na marginesie Wystawy Nowoczesnej Sztuki Polskiej w Moskwie wybitny malarz i znawca sztuki p. Juona zamieszcza na łamach „Izwiestja" recenzję, w której, mówiąc w słowach b. pochlebnych o całokształcie wystawy, wyróżnia szczególnie prace prof. Jarockiego i Dunikowskiego. Na specjalną naszą uwagę zasługuje ocena literatury artystyczno-propagandowej wystawy. Pan Juona poświęcając literaturze tej kilka wierszy, nazywa ją wzorem tego rodzaju wydawnictw.

Drugi tom dzieła prof. dra Marjana Szyjkowskiego p. t. „Udział Polski w czeskiem odrodzeniu narodowem" znajduje się w druku. Przed kilku dniami klub Polski w Pradze urządził uroczysty wieczór dla uczczenia 50-lecia prof. Szyjkowskiego, które zbiegło się z 10-leciem istnienia, piastowanej przez niego, od chwili jej utworzenia, katedry literatury i języka polskiego na Uniwersytecie Karola.

Pan Roberto Suster w artykule ostatnim w Popolo d'Italia p. t. „Espansione della Letteratura Polacca", omawia z wielkiem uznaniem niedawną Wystawę Książki Polskiej zagranicą, zorganizowaną przez P. Beckową. Wykazała ona — pisze p. Suster — w jak wielkiej mierze brali pisarze polscy, czego nie doceniano dotąd, udział w postępie i rozwoju ducha i literatury nie tylko swego kraju, ale całego kulturalnego i artystycznego świata, wzbogacając z niezmienną szczodrością jego dorobek. Podkreślając zaś powodzenie i doniosłość tej wystawy, mówi, że dała ona prawdziwie szeroką wizję tego, czem jest ekspansja myśli literackiej i artystycznej.

Przechodząc do szczegółów wystawy zauważa ze zdziwieniem i przykrością, że jeden z największych polskich znawców historji włoskiej i jej zaciekły badacz Kazimierz Chłędowski, nie doczekał się dotąd ani jednego przekładu na język włoski, mimo, że pięć prac na tematy włoskie przełożono na inne języki (niemiecki, czeski).

Neapolitańskie „Roma Della Domenica" zamieściła w numerze z 12 listopada b. r. przekład „Legendy indyjskiej" Henryka Sienkiewicza.

Italia Letteraria z 19 grudnia zamieszcza, jako wyjątek z tomiku „Lirici della Polonia d'oggi" (lirycy współcześni polscy) wiersz J. Tuwima w przekładzie rytmicznym Marji Bersano Begey. Wymieniony tomik wyszedł nakładem „La Unova Italia" we Florencji w przekładzie Marji Bersano Begey ze wstępem i objaśnieniami matki jej Mariny Bersano Begey. Nazwisko to nie jest nam obce, przywodzi bowiem na pamięć Instytut polski tego imienia w Turynie.

Jednocześnie grudniowy numer „La Sesia" — przynosi obszerne omówienie tej książki w tonie niezwykle pochlebnym, zamieszczając szereg przekładów krótkich utworów, wyjętych ze wspomnianej antologji: Kasprowicza: „Sempre ho creduto" —Tetmajera: „Vento montano" — Staffa: „Vado lontano" — Wolskiej: „L'anima mia" i „Non so" — Małaczewskiego: „Alle tombe di Arcangelo e di Murmańsk" — Iłłakowiczówny: „Morte" — Pawlikowskiej: „Nike" i Konopki: „Glikauf".

Ile staranności troskliwej włożyła w pracę swą p. Bersano-Begey, widać z własnego bodaj przykładu, że nawet przedwcześnie zgasły poeta Eugenjusz Małaczewski, mimo niewielkiej spuścizny, jaką zdołał po sobie zostawić, znalazł w tej antologji miejsce dla swych pięknych strof.

400-lecie urodzin Stefana Batorego obchodzone uroczyście w całych Węgrzech, stało się nową manifestacją przyjaźni polsko-węgierskiej i żyjących w obu narodach wspólnych tradycyj. W samym Budapeszcie odbyło się kilka akademij, jak to w Kolegjum Rakoczego, w akademji Św. Stefana i in.

Wśród licznie zebranej w kolegjum Rakoczego publiczności przemawiał dyr. Kolegjum ks. Gaspar, dzieląc się wrażeniami z wycieczki do Polski, zorganizowanej dla złożenia hołdu pamięci Batorego. Część muzyczną akademji złożyły utwory Chopina i innych w wykonaniu orkiestry kolegjum. Na szczególną uwagę zasługuje, odśpiewanie przez art. opery Szugyi'ego, przy akompanjamencie chóru, nieznaną pieśń Palestriny z r. 1583, opiewającą czyny wielkiego króla.

W akademji Św. Stefana, na zebraniu, któremu przewodniczył prymas Seredi, prof. Uniwersytetu Lukinics wygłosił odczyt o Stefanie Batorym — jego zasługach dla Polski i Siedmiogrodu.

W Nyirbator dokonano uroczystego odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci Batorego na murach protestanckiego kościoła ufundowanego przez Batorych.

Równocześnie odbyło się poświęcenie kościoła, odrestaurowanego obecnie z inicjatywy Komitetu Batorego.

Grudniowy „Magyarsag" zamieścił fotografję pomnika Stefana Batorego odsłoniętego w Cluj w Siedmiogrodzie.

„Pesti Hirlap" daje zdjęcia z wystawy „Batory — Sobieski" w Warszawie, oraz z defilady w mundurach historycznych przed pomnikiem ks. Józefa Poniatowskiego.

„Arta si Omul", miesięcznik poświęcony sztuce, przynosi w numerze grudniowym artykuł p. Dusza-Czara p. t. „Plastica Polona" z szeregiem reprodukcyj płócien: Matejki, Wyspiańskiego, Stanisławskiego, Skoczylasa i innych, oraz rzeźb Wittiga. Miesięcznik, którego połowę niemal zeszytu obejmuje plastyka polska, daje czytelnikowi rumuńskiemu, jakby rzut oka na całokształt rozwoju malarstwa polskiego. Jeśli możnaby się zgodzić z okresem od XV — XIX wieku ujętym w telegraficznym skrócie, to ostatni dziesiątek lat XIX w. i malarstwo współczesne polskie potraktowane jest w sposób dość jednostronny. Autorka wysuwa niektóre postacie drugoplanowe z pominięciem nietylko poszczególnych cennych i wybitnych indywidualności malarskich czasów ostatnich, ale i całych grup i szkół. Podobnie jest i z doborem reprodukcji. Znając entuzjastyczny niemal stosunek autorki do Polski i plastyki polskiej braki te, a szczególnie w doborze reprodukcji, należy zapewne przypisać trudnościom w zdobyciu materjału reprodukcyjnego.

— „Les Annales de Turquie" w numerze poświęconym 10-leciu Republiki Tureckiej zamieszcza artykuł p. S. T. Gasztowta „La Pologne renaissante et ses amitiés Turco-Magyares". Ten sam numer zawiera ponadto notatkę o obchodzie 78 rocznicy śmierci Adama Mickiewicza. Notatka podnosi w słowach najwyższego uznania i pochwały pracę generalnego konsula R. P. w Stambule, P. M. Wegnerowicza i oznajmia, że jego to inicjatywą jest wmurowanie na domu, w którym zmarł Mickiewicz marmurowej tablicy pamiątkowej z medaljonem w języku polskim i tureckim. Na powyższy temat przynosi również wzmiankę włoską „Gazetta di Venezia", podając zarazem wiadomość o wzniesieniu w Adampolu, na brzegu azjatyckim Bosforu, pomnika ku czci polskiego wieszcza. Pomnik ten stanowi blok kamienny z płaskorzeźbą (podobizna Adama Mickiewicza) dłuta p. Bilińskiego. Wzniesiono go na obszernym dziedzińcu przed kościołem w kolonji polskiej Adampol, wiosce założonej, jak pisze gazeta włoska, przez wygnańców insurekcji z r. 1830—31. Pomnik ten powstał również z inicjatywy p. Wegnerowicza, który przewodniczył uroczystości odsłonięcia. Uroczystość ta odświeżyła niewygasłe wśród starszego pokolenia Adampolu tradycje naszej ideowej emigracji i znalazła serdeczny, szczery oddźwięk w prasie tureckiej.

Wielki przegląd potugalski, wychodzący w Lizbonie „Ilustraçao" zamieścił artykuł podpisany: Rita San., którego tytuł nosi w cudzysłowie pamiętne: „Veni-Vidi-Deus vicit" Jana III. Bardzo piękne reprodukcje i fotografje zajmują dwie strony pisma. Są to dwa portrety Sobieskiego i Marysieńki w medaljonach trzy obrazy z bitwy pod Wiedniem, zdjęcia pałacu w Wilanowie i reprodukcja powiększona jubileuszowego znaczka poczty polskiej.

Włosko-Polskie Stow. Kulturalne w Rzymie wydało nakładem „Instituto per l'Europa Orientale" gramatykę języka polskiego. Podręcznik, który ukazał się pod tytułem „Avviamento allo studio del polacco", w opracowaniu p. Wandy Andreis-Wyhowskiej, zasługuje na szczerą pochwałę, tem więcej, że prócz zalet istotnych jest on pierwszym tego rodzaju podręcznikiem. Przedmowę napisał znany polonista i slavista włoski prof. Henryk Damiani.

J. K.

KONKURS NA NOWELĘ

Wychodzący w Poznaniu miesięcznik „Tęcza" ogłosił konkurs na nowelę.

Najważniejsze warunki konkursu brzmią: Tło i temat dowolne. Nowele nie mogą przekraczać 350 wierszy 36 literowych i nadesłane być muszą do 15 lutego 1934 r. włącznie. Każda praca winna być zaopatrzona godłem; prócz tego, w kopercie, w której umieszczony zostaje rękopis, należy podać imię i nazwisko, oraz dokładny adres. Można nadesłać kilka utworów, jednak pod różnemi godłami. Skład sądu konkursowego podany zostanie w osobnych komunikatach, same zaś wyniki konkursu ogłoszone zostaną w nr. 3 „Tęczy" dnia 1 marca 1934 r.

Pierwsza nagroda wynosi 400.— zł., druga — 200.—, trzecia — 100,— czwarta — 75,—, piąta — 50.— zł.

Autorzy nagrodzonych nowel otrzymają prócz tego — po wydrukowaniu ich utworów — ryczałtowe honorarjum w wysokości 50 zł.

Przesyłki z nowelami kierować należy listami poleconemi w kopertach z napisem „Konkurs na nowelę" pod adresem redakcji „Tęczy" — Poznań, Aleje Marcinkowskiego 22.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

POEZJE

Henryk Proch. — Wsi i miasta. Warszawa, Bibljoteka Henryka Procha.

Henryk Proch. — Rozkazy. Warszawa, Bibljoteka Henryka Procha.

Światopełk Karpiński. — Ludzie wśród ludzi. Księgarnia K. Neumillera. Łódź, 1932.

Menas Kott. — Na trapezie. Warszawa, 1934.

Kazimiera Iłłakowiczówna. — Ballady bohaterskie. Lwów. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. 1934.

Omar Chajjam. — Wybrane czterowiersze. Przełożył z perskiego oryginału Andrzej Gawroński. Lwów, Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. 1933.

Stanisław Młodożeniec. — Futurogamy i futuropejzaże. Warszawa, 1934. Nakł. Wydawn. „Wąkopy".

Xenia Żytomirska. — Wiersze. Warszawa, 1933. Skład Główny Dom Książki Polskiej.

Bogdan Krawciw.—Soneti i strofi. Lwów, 1933.

Stanisław Wygodzki. — Chleb Powszedni. Kraków, 1934.

Cyprjana Norwida. — Inedita. Wiersze zebrał i wydał Zenon Przesmycki.

Stanisław Jerzy Lec. — Barwy. Poezje. Lwów, 1933. Nakładem Księgarni Nowości.

Marja Czesława Przewóska (Helja). — Sursum corda. Warszawa. Dom Książki Polskiej.

POWIEŚĆ, NOWELA

Marja Dunin-Kozicka. — Miłość Ani. Powieść współczesna. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej.

Adam Grzymała-Siedlecki. — Miechowiec i Syn. Powieść. Gebethner i Wolff. Warszawa.

Joseph Conrad. — W oczach Zachodu. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej.

HISTORJA

Władysław Semkowicz. — Rzeczpospolita Polska w dobie królów obieralnych (mapa). Podziałka 1:3000000. Książnica Atlas.

Fontes. — XXVI. Źródła wojskowe do dziejów Pomorza w czasach Księstwa Warszawskiego. Część I. Zajęcie Pomorza 1806/7 r. Podał Janusz Staszewski. Toruń. Typis. S. Buszewski. 1933.

PAMIĘTNIKI

Marja Janowa Kasprowiczowa. — Dziennik. Część I. Moje życie z nim. Część II. Wojna. Instytut Literacki. 1932.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc.

w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je księgarniom w całej Polsce do komisowej sprzedaży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI".

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590
Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: **Tadeusz Święcicki** Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty **Juljan Zielski**

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10

R